Nr. 7. Poznań, niedziela 16-go lutego 1896. Rok III.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, św. Marcin 22 II p.
Administracya: Piekary nr. 6.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

PRZEDPŁATA KWARTALNA
wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.

OGŁOSZENIA:
20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer:
w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

TREŚĆ.

Nasz program I.
Polityka: Przegląd prasy polskiej p. ski.
Literatura i sztuka: Les Kamtschatka p. R. C. — Mierzwiński-redivivus p. M. Gawalewicza.
Badania naukowe: Samobójstwo p. W. Bukowińskiego.
Życie społeczne: Listy z Borlina p. M.
Z estrady i sceny: Wanda, tragedya w 5 aktach p. Fr. Wężyka. Ocenił W. R,
Feljeton: To i owo. — Na wyłomie p. Sullę.
Kronika literacka.
Kronika powszechna.
Odpowiedzi Redakcyi.
Odcinek: W świat przez K. Rojana. (Ciąg dalszy). Nauczyciel p. M. Witoroza. (Ciąg dalszy.)

Nasz program.

I.

Z wielu stron, a głównie ze strony naszych stałych czytelników, zapytywano się nieraz, dla czego w wstępnych artykułach nie omawiamy swego *credo* politycznego. Jeżeli dotychczas byliśmy głuchymi na nawoływania przyjaciół, pochodziło to ztąd, że w naszem mniemaniu ogół naszych artykułów był odpowiedzią na ich pytania. Nie przeczymy wcale, że nieraz zabłąkał się do pisma naszego ten i ów artykuł, który był w sprzeczności z właściwą dążnością „Przeglądu“ i jego założycieli. Jeżeliśmy go umieścili, stało się to dla tego, że często zniewoleni byliśmy cofnąć się z własnemi przekonaniami za powagę autora, zasługującego bądź co bądź na udzielenie mu głosu w piśmie naszem. Czyniliśmy to głównie w rubryce „Wolnych głosów“, a celem było naszym otworzenie dyskusyi nad kwestyą będącą na dobie. Dziś, gdy pismo nasze dobiega dwuletniego okresu istnienia swego, podajemy w zwięzłem, o ile możności, streszczeniu, nasze polityczne poglądy.

Przedewszystkiem przypominamy naszym czytelnikom, że przez wydanie „Przeglądu“ pragnęliśmy zapełnić szczerbę w naszej prasie peryodycznej, poświęconej wyłącznie polityce. Potrzebę pisma *literackiego* odczuwali *nietylko* pierwotni założyciele naszego pisma. Polityka jest bardzo ważną rzeczą; jednakże nie posiada ona takiego znaczenia, jakie jej przypisuje większa część naszej inteligencyi, a odznacza się tą ujemną stroną, że wiedzie do „politykowania“, wyczerpującego najlepsze siły umysłowe społeczeństwa w jałowych sporach o zużyte hasła. Pragnęliśmy stać się organem tej części naszej inteligencyi, która w narodzie pozbawionym bytu politycznego przypisuje większe znaczenie wewnętrznemu moralnemu i kulturalnemu postępowi niż polityce.

Publiczność nasza, czerpiąca swe wiadomości o ruchu umysłowym kraju naszego z pism poznańskich i z pewnych pism warszawskich, reklamowanych przez tutejszą prasę, zna go tylko połowicznie. Jednostronność tych pism jest znana. Bojkotowanie autorów i dzieł ich, nie trzymających się ścieżek wydeptanych przez nasze powagi literackie, jest rysem znamiennym poznańskiej prasy oraz ich zakordonowych pupilów. Uznając ten niedostatek, staraliśmy się udzielić w łamach pisma naszego głosu autorom postępowego kierunku.

Zwracaliśmy równocześnie uwagę na ruch umysłowy zachodniej Europy i Słowiańszczyzny, a szczególnie dla ostatniej otworzyliśmy łamy pisma naszego. Wiedzieliśmy dobrze, że pielęgnowane przez prasę naszą „samochwalstwo narodowe“ wykrzywiło w znacznej części publiczności pojęcie o stanowisku naszej literatury i sztuki wśród otoczenia obcego; przeciętnemu poznańczykowi zdaje się, jakobyśmy z naszymi Matejkami i Sienkiewiczami stali w ognisku ruchu umysłowego, jeżeli nie Europy całej, to przynajmniej Słowiańszczyzny. Wykazać, że tak nie jest, że samochwalstwo narodowe może tylko szkodzić rozwojowi literatury i sztuki było naszem zadaniem. Wychodziliśmy z założenia, że ostatnie zyskać tylko mogą na tem, jeżeli je krytyka stawiać zawsze będzie w świetle ogólnego ruchu umysłowego.

Jeszcze jedno! Z wielu stron, i to nawet z grona założycieli „Przeglądu“ dochodzi nas zarzut, jakobyśmy w naszem piśmie nie zajmowali stanowiska *„katolickiego“*. — Oto nasze zapatrywanie! Uważamy wiarę i wiedzę jako dwa równoważne czynniki ducha ludzkiego, jako dwie równouprawnione siostrzyce jednego pochodzenia Boskiego. Wiemy, że zatarg między jedną a drugą jest możliwy, ale twierdzimy, że odpowiednim terenem do załatwienia tego sporu jest jedynie sumienie każdego z nas z osobna. W łamach pisma naszego miejsca dla takiego rodzaju polemik nie było i nie będzie. Wiemy przecież dobrze, że w przeniesionym do pisma peryodycznego sporze o pierwszeństwo wiary lub wiedzy nie ma ani zwycięzców, ani zwyciężonych. Przeciwnicy chowają się po starciu do swych namiotów w przekonaniu, że zwyciężyli, wśród poklasków lub szyderstwa przysłuchującej się rzeszy. W każdym razie w naszem piśmie zatargu tak bezowocnego wszczynać nie będziemy, ale zaczepieni wystąpimy zawsze w obronie niezależności wiedzy.

A teraz co do naszych poglądów politycznych.

Wychodzimy z założenia, że rzeczpospolita nasza upadła, bo nie posiadała warunków organizmu państwowego. Nie wdajemy się w rozbiór kwestyi, więcej metafizycznej niż realnej, czy ten upadek dokonał się pod wyrokiem sądu boskiego, czy też pod obuchem t. zw. konieczności historycznej; my tylko zaznaczamy fakt, bardzo ważny w polityce praktycznej, że rzeczpospolita pozostawiła nam w spadku zepsutego na chlebie dworów magnackich szlachcica, ciemnego chłopa — a w środku między nimi żyda szachraja. Ani Kościuszko, ani na pół fantastyczny Głowacki, a tem mniej Berek Joselowicz nie byli typami porozbiorowego społeczeństwa. Z tak niejednolitych żywiołów bodajby mógł i Michał Archanioł zorganizować wojsko powstańcze, a cóż dopiero generałowie w rodzaju Mierosławskiego lub Langiewicza. Wiemy dobrze, że pod względem ustroju społecznego, dziś w wiekową rocznicę rozbioru ojczyzny naszej, zajmujemy nieledwie ostatnie miejsce wśród sąsiednich narodów. Dogonić nam trzeba to, co całe wieki zmarnowały. Odrodzenie naszego społeczeństwa na zasadach demokratycznych jest naszym ideałem. Póki to nie nastąpi, nie wierzymy, żeby naród nasz mógł zająć samodzielne stanowisko w rodzinie narodów europejskich. Nie wierzymy w skuteczność gwałtownych wysileń, ale wierzymy w rozwój sił społecznych, pod których niepohamowanem parciem pęka obręcz, krępująca żywy jeszcze organizm. Nie pocieszamy narodu naszego przez nadawanie mu dogmatycznego przywileju „nieśmiertelności“. On, jako *wytwór dziejowy*, zniszczeć może tak dobrze, jak każdy inny naród. O tem wiedzieć powinien każdy polak i właśnie świadomość tej śmiertelności powinna mu dodać bodźca do wytężenia wszystkich sił swoich w obronie narodowej egzystencyi.

Rozpoczęliśmy wydawnictwo nasze wśród opałów tak zwanej „polityki ugodowej“. Na wiecu katolickim w czerwcu r. 94 ugodowcy zorganizowali przegląd sił swoich. Pisaliśmy o tym wiecu dość obszernie. Streszczamy nasze zapatrywanie! — Wiemy dobrze, że w mniemaniu niemieckich sfer miarodawczych stanowimy drzazgę w organiźmie państwowym. Wyjąć ją jak najprędzej będzie zawsze ich najgoretszem życzeniem. Czy to Olbracht Niedźwiedź, czy Hartmann, czy miecz, czy historiozofia niemiecka — powtarzają nam zawsze: *exstirpare gentem sclavorum*, — „ausrotten“. Było to omyłką naszych ugodowców, że ten program tak jasny i tak dawny uważali tylko za wybryk nienawiści teutońskiej starego kanclerza i sądzili, że z jego dymisyą prądy antypolskie w najwyższych sferach ustaną; nie wiedzieli czy też wiedzieć nie chcieli, że walka z nie-

nawistnym polonizmem jest popularną u pokolenia niemieckiego, wychowanego w wyobrażeniach Treitschego, Giesebrechta i Sybla, i że żaden mąż stanu w Niemczech pod groźbą utraty popularności temu prądowi niemieckiej opinii publicznej stawiać czoła nie będzie. — Nie przyczyny, że zmiana frontu, jakiej dokonać zamierzali nasi ugodowcy, miała w ich mniemaniu reagować przeciw zamaszystości naszych polityków lilipuciego zakroju, kłujących szpilkami drzemiącego w pikelhaubie Guliwera; obawa, żeby takie kłucie nie sprowadziło na nas nowych klęsk w postaci reskryptów ministeryalnych, stanowi poniekąd łagodzącą okoliczność dla marzycieli ugodowych, — nigdy jednak nie może ich uniewinnić. Gdyby się byli zadowolnili charakterem „straży pożarnej“ w rozumieniu Szujskiego, porozumienie z większością społeczeństwa naszego byłoby może nie tak trudnem; ale oni poszli dalej. Usiłowali zastąpić w odradzających się dopiero pod względem narodowym szerokich warstwach ludowych wiarę w siły własne, w żywotność naszego narodu, *wiarą* w łaskawość najwyższego zwierzchnika państwa, tak jakby tenże liczyć się nie potrzebował z opinią narodu niemieckiego i wreszcie z ustrojem konstytucyjnym swego państwa. Taka polityka otworzyła na roścież drzwi obłudzie politycznej, stąpającej w masce lojalności. Niestety, zbyt była ta maska przezroczystą, żeby pierwszy lepszy landrat nie poznał pod nią prawdziwego oblicza ugodowca-Polaka; a przecież pod tą maską odbywali ugodowcy zjazdy i wiece. Kto był na wiecu katolickim w Poznaniu, mógł przepowiedzieć bankructwo tej polityki, widząc, jak z pod tej maski lojalizmu wychylał oblicze stary „intransigenta“. Ale obłuda długo nie trwała. Sami prowodyrowie ugodowego stronnictwa wkrótce po wiecu katolickim zrzucili na ucztach lwowskich maski hyperlojalizmu pruskiego, a chociaż takie zdemaskowanie skompromitowało *stronnictwo*, to równocześnie rehabilitowało *osoby*, które błądzić mogły, ale z wyjątkiem kilku głów do pozłoty patryotami polskimi być nie przestały.

Dalecy jesteśmy od zarozumienia, żebyśmy naszemi artykułami przyczynili się do upadku koteryi politycznej, niedawno temu jeszcze pełnej animuszu wojowniczego. Rozwijając nasz program, chcieliśmy tylko przypomnieć naszym czytelnikom, że od początku założenia pisma naszego występowaliśmy zawsze przeciw romantyce politycznej, nie mającej racyi bytu w społeczeństwie, skazanem z natury rzeczy li tylko na własną pomoc.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

Dola emigrantów galicyjskich. Jeden z korespondentów „Kuryera Lwowskiego“ podaje następujący przyczynek do historyi wychodźtwa galicyjskiego:

„Przejeżdżając w poniedziałek rano przez Stanisławów, zatrzymałem się na tamtejszej stacyi dla załatwienia kilku interesów z osobami tam mnie oczekującemi. Od jednej z nich dowiedziałem się, że w klasie III, w poczekalni obozuje cała gromada wychodźców brazylijskich, powstrzymana w drodze także jakąś „silną ręką“. Zaciekawiony niezmiernie, zwłaszcza po odczytaniu całego szeregu polemik i rozpraw uczonych po gazetach się tłukących, wchodzę do klasy III i oczom moim jaki przedstawia się widok?

Zaducha panująca w tym „salonie“ nie pozwoliła mi w pierwszej chwili uchwycić całego obrazu jednym rzutem oka, zaciągnąwszy jednak w płuca zapas stęchłego powietrza, raz i drugi, obejrzawszy się po kątach, ujrzałem widok przechodzący wyobrażenie, jakie sobie, czytając niejednokrotnie opisy i notatki kronikarskie, o naszych biednych brazylijczykach, urobiłem. Mężczyźni o żółtych wynędzniałych twarzach, snuli się po „salonie“ w wysokich, obłoconych butach, trzymając zagasłe fajki w zębach, kobiety tuliły drobne dzieci do łona, kwilące, kaszlące i płaczące. Starsze dzieci w wieku około lat 7—12, a może i starsze, ale nie wyrośnięte i wynędzniałe bawiły się w chowankę, ukrywając się za tobołkami i rupieciami, zawalającemi podłogę, ławki i wszystkie kąty poczekalni.

Wzrok mój padł na jedną z ławek, gdzie w kącie, ponakrywana jakiemiś rańtuchami grubemi leżała jakaś kobieta robiąca wrażenie chorej na puchlinę. Spytałem pierwszego lepszego chłopa o nią.

— To żona moja, odpowiedział.

— Chora?

— Wczoraj tu dziecko porodziła.

— Gdzie? Tu?

— A tu, w sali.

Ciarki po mnie przeszły i coś mię w gardle dławiło.

— Syn, czy córka? — zapytałem opanowując wzruszenie.

— Syn, — odrzekł, blado się uśmiechając.

Chłopi, baby, dzieci, otoczyły mię kołem.

Poczęły się żale, opowieści i zawodzenia — Na jedno moje pytanie, otrzymałem naraz dziesięć odpowiedzi, po polsku i rusku. Widząc, że nie dojdę do ładu, wydobyłem notatnika i z urzędową miną począłem, co mówili, spisywać. Miało to ten skutek, że jedna z kobiet, karmiąca dziecko, babina rezolutna, zapytała mię wręcz, czy te moje notatki znowu im jakiej biedy na głowę nie sprowadzą, bo „teraz to już nikomu nie można wierzyć“. Uspokoiłem ją, że nie mam żadnych złych zamiarów, poczem moi brazylijczycy, zaczęli mi się przedstawiać sami, po kolei. Rezultatem tych dochodzeń było, że emigruje razem 11 rodzin z kolonii mazurskiej Białokiernicy, pow. Podhajeckiego, razem z żonami i dziećmi.

Z opowiadania tych ludzi, na pytania szczegółowe o paszporta, pieniądze, przyczyny emigracyi itp. dowiedziałem się, że wygania ich z domu nędza.

Jeden z emigrantów opowiedział przytem fakt do wiary niepodobny, że podhajecki kierownik starostwa, u którego sześćkrotnie byli domagać się wydania wyjeżdżającym paszportów, w twarz go uderzył. Na powątpiewanie wyrażone przezemnie, odpowiedział krótko:

— Są świadkowie z Uhrynowa, Bekersdorfu, Zahajci, Wolendzy, Starego sioła i z kilku jeszcze siół, (których nazwisk nie pomnę), ci wszyscy co także po paszporty przyszli, to widzieli. Ostatecznie paszportów nie dostali. Grunta swoje posprzedawali po 40, 50 i 60 złr. za morgę i wyjechali, nie zważając na upomnienia starosty, który im nie mógł trafić do przekonania, ani poprzednim argumentem, ani przyrzeczeniem dostarczania robocizny po 20 centów (sic!) dziennie.

Ledwie przybyli do Stanisławowa, zatrzymano

K. ROJAN.

W ŚWIAT.

(Ciąg dalszy.)

Wszedł więc do mieszkania pana Kajetana i nie zastał tu nikogo, prócz jednej pani Marcysi.

Dyniecki należał do tych ludzi, co to trzymając się zasady, że każdy wróbel dobry, gdy ma się go w garści, nie mógł zapanować nad sobą, aby nie skorzystać ze szczęśliwej sytuacyi. Obcesowo więc nawiązał z panią Borajską przerwaną na jakiś czas nić poufałych stosunków.

Siedli sobie w jadalni i rozmawiali wesoło o tem i o owem. On nakręcił wkrótce pogawędkę na pewien skandalik głośny w mieście, o pani Maruszkowej i panu Waćkowskim, i opowiadał o nim bez osłonek, w wysoce zabawny i ciekawy sposób.

A że właśnie ściemniać się poczęło, więc Marcysia przerywając mu w pół zdania, rzekła:

— Przepraszam pana na chwilę. Chodź pan, pomożesz mi lampy pozapalać.

Zapalanie lamp rozpoczęło się od sypialni.

Dyniecki, podążając za panią Borajską, ciągnął:

— I owszem, z wielką ochotą. Zapalać lampy piękna to rzecz, szczególnie we dwójkę, bo przed zapaleniem jest zwykle ciemno.

— Pan lubi ciemność?

— Bardzo. Co prawda sam ciemności boję się zwykle, ale....

— Ale z kobietką....

— W dodatku ładną.... obawy pierzchają.

— Tego się można po panu spodziewać. Więc jak to dalej było z Waćkowskim i Maruszkową?

— Dalej?.... dalej nic już nie opowiem, bo gotowa pani pomyśleć, że jestem plotkarzem, a w dodatku nieprzyzwoitym.

— Ależ panie, nie obawiaj się pan. Ja stara kobieta, dwadzieścia ośm lat..... Ręczę panu, że nie bawię się w żadną skromnisię. Możesz pan mówić przedemną o wszystkiem.

Zaświeca zapałkę — Dyniecki zdmuchuje ją.

— Ej, dostaniesz pan po rękach!

— Proszę bić.

— Nie przeszkadzajże mi pan. Mąż przyjdzie niebawem, a tu lampy niepozapalane, dokoła nas ciemność. Gotów jeszcze niewiedzieć co pomyśleć. Więc jakże to było?

— Było tak, jeżeli pani chce już koniecznie. Pan Waćkowski święty człowiek, sprawił sobie nową kapotę...

— Co mnie jego kapota obchodzi?

— Kiedyż bo właśnie owa kapota odgrywa wielką rolę w całej historyi. Bez niej....

Zdmuchuje znowu zapałkę,

— Panie Dyniecki!

— Bez owej kapoty nie byłby poszedł do pani Maruszkowej i to wtedy właśnie, gdy mąż wyjechał kupować zboże na wieś. Wystroił się więc, wyczernił wąsy i idzie. Puk, puk, puk....

— Kto tam?

— To ja, czy mąż pojechał?

— Pojechał.

On na to cmok w rączkę.

Dyniecki, dla barwności opowiadania, naśladuje wiernie ruchy, słowa i czyny imci pana Waćkowskiego.

— Panie Dyniecki, przestaniesz pan!? Byłabym szkiełko opuściła. Jesteś pan nieznośny.

— Proszę się nie gniewać. Pani masz bardzo ładną rączkę.

Więc cóż dalej — pyta z widoczną niecierpliwością Marcysia.

— Otóż biedaczek, święty Waćkowski nie zauważył w zapale, że okno pokoju, gdzie się znajdował, wychodzi na ogród, a za ogrodem jest mieszkanie stolarza Kutera. Pani Maruszkowa, trzeba jej to przyznać, ma bardzo piękne usteczka.

— Przypatrzył im się pan z bliska?

— Być może. Ale to nie należy do rzeczy. Otóż ma piękne usta, nieprzymie-

ch tu w sali poczekalnej III klasy i siedzą tu pod strażą od soboty, a zatem już trzeci dzień bez ciepłej strawy w ustach.

Skarżyli się równocześnie na wójta w gminie swojej, Jędrucha Strusia, który na koszta paszportowe miał u nich wyłudzić 10 złr. i tych nie zwrócił. Marzeniem ich na razie jest dostanie się do Lwowa, gdzie ajent Ołeksa Szczerban, posiadający ich papiery i pieniądze ma im ułatwić dalszą emigracyę.

„Dlaczego zatrzymano ich w Stanisławowie trzy dni, po co, na co, z czyjego nakazu, jak długo tam jeszcze siedzieć będą, tego wszystkiego badać czasu już nie miałem, w drogę dalszą ruszyć musiałem. Przybywszy do domu odłożyłem najpilniejsze sprawy, ażeby podać do publicznej wiadomości co na własne oczy widziałem i słyszałem, a może bardzo smutna ta kartka z dziejów naszej cywilizacyi posłuży komu z posłów sejmowych do zrobienia z niej należytego użytku.

* * *

Szykany. Prześladowanie Towarzystw polskich w całym zaborze pruskim nie ustaje. Władze policyjne korzystają z każdej drobnostki, aby rozbijać zebrania, paraliżować koncerty amatorskie itp., a częstokroć nie cofają się nawet przed wyraźnem bezprawiem. Oto co podaje do wiadomości publicznej pelpliński „Pielgrzym“:

W Lalkowach zebranie Towarzystwa ludowego w niedzielę 23 stycznia odbyć się nie mogło, bo wójt nie dał poświadczenia o zameldowaniu, a żandarm takiego poświadczenia wymagał. Za poprzednie zebranie zaś mają członkowie zarządu: pp. Dzięgielewski, Felchner i Jan Chmielecki zapłacić po 20 mr. kary, bo wójt twierdzi, że zameldowania nie otrzymał, które mu pocztą było przesłane. Skazani na karę odwołali się do sądu, w którym dnia 11 bm. sprawa ta się rozstrzygnie.

Również w Swiekatowie skazał wójt gościnnego p. Kaszewskiego na 15 mr. kary za to, że pozwolił, iż w jego lokalu odbył się wiec „bez policyjnego pozwolenia“, ale takiego wcale nie potrzeba, wystarcza zameldowanie, a to się stało listem rekomendowanym (eingeschrieben). Sąd niezawodnie p. K. uwolni od kary. Albowiem coś podobnego zaszło w Rembiechowie: a sąd ławniczy w Gdańsku zniósł karę policyjną na podstawie przedłożonego kwitu pocztowego, świadczącego o zameldowaniu.

W Więckowach nałożył wójt 55 m. kary na amatorów, którzy odbyli próbę na sali gdzie państwo T. obchodziło swoje złote wesele. Oczywiście skazani na grzywny też się odwołają do sądu.

W Komorsku już 17 marca 1895 Towarzystwo ludowe uchwaliło założenie kasy pogrzebowej, ale dla różnych stawianych Towarzystwu przeszkód jeszcze nie mogło wejść w życie. Podobno żąda teraz wójt, żeby organem Towarzystwa do ogłoszeń też było przynajmniej jedno czasopismo niemieckie.

* * *

Point de reveries. „Przegląd Wszechpolski“ ostrzega przed złudzeniami politycznemi, tumaniącemi społeczeństwo polskie w rosyjskim zaborze.

„W najlepszym razie — mówi — możemy się spodziewać, że przy liberalnym trybie rządzenia zniesione będą niektóre prawa wyjątkowe i ograniczenia, te przedewszystkiem, które nieraz dla Rosyan są uciążliwe, że władze działać będą łagodniej i ściślej trzymać się prawa lub ulegalizowanego bezprawia, że zapewne otrzymamy większą swobodę rozwoju ekonomicznego i bardzo ograniczoną możność wypowiadania swoich myśli. Po za tem jakieś zmiany drobne, zwłaszcza w zakresie stosunków społecznych i ekonomicznych, uzyskają ludzie i grupy, które potrafią skorzystać z przyjaznego dla pewnych warstw lub interesów usposobienia rządu. Nie powiemy, żeby takie nawet zmiany nie miały wartości dla nas, bo nie wyznajemy zasady: im gorzej, tym lepiej. Lekkie, chociażby chwilowe rozluźnienie dławiącej obroży, które daje możność odetchnienia, jest już w naszych stosunkach ulgą pożądaną. Ale trzeba pamiętać, że to, co otrzymać możemy, stanowi *maximum* prawdopodobne, że nie wolno nam wytwarzać złudzeń i podsycać nadziei, po których przyjść musi rozczarowanie.

W polityce nic się darmo nie dostaje, lecz albo się bierze, albo za usługi i ofiary wymienia. Co my rządowi w zamian za ustępstwa dać możemy, a raczej, co dać mu mogą ci, którzy z ofertą ugody występują. Nic, albo prawie nic. Rozumieją to dobrze wszyscy ci panowie, którzy akcyę ugodową rozpoczęli. Deputacya w Petersburgu niczego nie żądała, o nic nie prosiła, bo nie miała do dania czegokolwiek, coby dla rządu jakąś wartość przedstawiało. Autorowie memoryałów, wręczonych hr. Szuwałowi poruszają w nich takie sprawy, jak uregulowanie obowiązkowe służebności, w znacznej części już dzisiaj załatwione, jak rozszerzenie atrybucyi Towarzystwa kredytowego ziemskiego, jak wreszcie dopuszczenie arystokracyi polskiej do urzędów i zaszczytów dworskich.

Bardzo skromne żądania czy prośby, ale ci, co je wnoszą, wiedzą, że byłaby to dostateczna zapłata za ofiarowane rządowi usługi i dobre chęci. I rząd też wie, że więcej dać im nie warto. Bo, mówiąc otwarcie, co pp. Górscy, Spasowicze, Baranowscy i chociażby całe legiony podobnych do nich ludzi znaczą, jaką siłę przedstawiają? Gdyby chociaż byli szkodliwi i niebezpieczni, gdyby byli chociaż niespokojni, rząd zechciałby może — bo i to rzecz wątpliwa — zjednać ich sobie, lub przynajmniej uciszyć. To nie jest wcale polityka realna, polityka interesów, jak ją nazywają, ale naiwna i śmieszna komedya złudzeń. Nic dziwnego, że przedstawiciele właściwego mieszczaństwa, którzy z praktyki interesów osobistych mają jakie takie pojęcie o prowadzeniu intesesów publicznych, nie bardzo kwapią się z przystąpieniem do takiej akcyi ugodowej, chociaż im obiecuje ona większe niż innym zyski.“

— ski.

LITERATURA I SZTUKA.

„Les Kamtchatka“.

Wobec posuchy na nowe tematy powieściowe, panującej obecnie na niwie literackiej, powyżej przytoczony, najświeższy utwór Leona Daudeta, budzi pewne zainteresowanie. Autor „Les Morticoles“, satyry, skierowanej przeciwko francuzkim powagom lekarskim, wystąpił znów z większym utworem, zaopatrzonym w dość dziwny tytuł „Les Kamtschatka“. Upodobanie do satyry, odziedziczone widocznie po ojcu (Alfonsie Daudecie) i tym razem wybitnie zaznaczyło się, zwłaszcza, że obrany temat duże nastręczył pole do zręcznej i trafnej obserwacyi. Tematem tym są estetyczne i umysłowe „mody“ — trudno je bowiem nazwać prądami — panujące w sferze bogatego i próżniaczego mieszczaństwa paryzkiego. Autor oczywiście nie kieruje ostrza swej ironii przeciwko istotnym literackim prądom no-

---

rzając takie, jak pani, tylko że cała Maruszkowa ani się umyła do pani. Tamta piwonia, a pani rozkwitła róża. Te zatem usta podobały się bardzo pobożnemu Waćkowskiemu, a więc nie namyślając się długo, porywa ją wpół i całuje!.... o tak!

Tu znowu Dyniecki ilustruje w żywy sposób myśli, słowa i czyny imci pana Waćkowskiego.

Tymczasem, gdy się to dzieje, Lola wraca do domu. Zniecierpliwiła się dłuższem czekaniem na Anulkę, więc, przed ukończeniem korepetycyi, powróciła sama do domu. Weszła kuchnią. Przechodząc przez jadalnię, usłyszała podejrzane głosy w trzecim pokoju i rozpoznała głos Dynieckiego. Dziwnie poruszona, podeszła na palcach do drzwi sypialni i oparłszy cicho rękę na futrynie, pochyliła głowę. Tym sposobem była niemym świadkiem całej niemal rozmowy macochy z Dynieckim, prowadzonej przy zapalaniu lampy.

Zrazu nie mogła zrozumieć, co się tu dzieje. Serce ścisnęło się jej w piersi, zatamowała oddech. Żartobliwy i poufały ton Dynieckiego przeraził ją u wstępu tak mocno, że nie wiedziała, co dalej począć. — W miarę dochodzących do jej uszu słów Dynieckiego, przeplatanych śmiechem macochy i całusami, sztywniała i krzepła coraz to bardziej, a usta jej blade, szeptały bez dźwięku:

— Otóż pójdę sobie stąd i nie chcę go nigdy już widzieć.... to niegodnie, to nieładnie, to bardzo nieładnie. On mnie zwodzi, on mnie nie kocha.... On mnie zabije.... zabije.

Nie odchodziła jednak i słuchała dalej, mimo, że poczuła do Dynieckiego wstręt połączony z chęcią wyrażenia mu natychmiast pogardy; dopiero, gdy opowiadanie Dynieckiego zbliżało się końcowi. Lola odskoczyła ode drzwi, odrzuciła kapelusz daleko od siebie, potrąciła krzesłem i zawołała głośno:

— Dobry wieczór państwu!

Była tak wzburzona, że trzęsła się cała.

Oczywiście, że Dyniecki nie dokończył opowiadania pani Marcysi o Waćkowskim i Maruszkowej. Sądząc jednak z pozdrowienia Loli, wygłoszonego z oddali, przypuszczał, że ta weszła w tej właśnie chwili do pokoju i nie podsłuchiwała jego rozmowy, prowadzonej w sypialni.

Wyszedł więc zaraz i uśmiechając się po trosze bezczelnie, powitał Lolę ukłonem i począł się usprawiedliwiać.

— A, pani już jest?... Czekałem na panią tak długo, że w końcu musiałem dla zabicia czasu pomódz pani Borajskiej zapalać lampy.

— A?... tak!

— Właśnie rozmawialiśmy o pani i dziwiliśmy się, dla czego pani nie przychodzi.

Lola wre z oburzenia. Dzikie myśli kłębią się w jej głowie. W tej gmatwaninie szuka słów, ktoremi mogłaby go znieważyć, obrzucić wzgardą, wypowiedzieć, jak bezgranicznie cierpi i jak go nienawidzi, aż wreszcie powiada:

— Jestem chora. Głowa mnie boli, dziś grać nie będę.

I wychodzi z pokoju.

Dyniecki stał chwilę nieruchomy przy stole i rozmyślał.

— Zła jest: widziała, albo się domyśla. Zresztą, niech się gniewa. Wielkie nieszczęście.

Pani Marcysia, która dotąd drżącemi rękami zapalała lampę, weszła teraz do jadalni i zapytała z cicha:

— A co?... widziała może?

— Gdzie tam. Nic nie widziała, nie mogła widzieć. Być może, że się domyśla, ale ręczę, że ponadto nic.

Kobieta odetchnęła i odzyskała zimną krew.

— Niegodziwa dziewczyna — zauważyła. — A gdzież ona teraz jest?

— Odeszła tam — wskazał ręką na drzwi pokoju dziewcząt. — Powiada, że ją głowa boli i że grać dzisiaj nie będzie. Tem lepiej, bo i ja nie mam wielkiej ochoty do grania.

Widocznem było, że ochoty do grania nie miał. Siadł kwaśny na kanapie, zapalił cygaro, bąknął kilka słów od rzeczy, poczem wstał i pożegnał Borajską.

Lola nie pokazała się tego wieczora przy kolacyi.

. . . .

woczesnym, z któremi bądź co bądź, niezależnie od większej lub mniejszej dla nich sympatyi, poważnie liczyć się należy, i nie przeciwko ludziom, których nieprzeciętne w każdym razie umysły — nową formę sztuki stworzyły, ale bicz jego satyry chłoszcze jedynie bezmyślne naśladownictwo i robienie mody z tego, co jest istotną potrzebą ducha nielicznej garstki natur wybranych. Modny obecnie wyraz dekadentyzm (autor właśnie zamienia takowy na nazwę „Kamtchatka"), stał się podług Daudeta, hasłem ludzi, którzy, dzięki swej naturze mało wrażliwej, nerwowo zdrowej, najmniej na wyznawców nowej szkoły się nadają i hołdują jej jedynie, idąc owczym pędem za modą chwil. Nazwa ich „Les Kamtchatka" pochodzi ztąd, że są oni osobnikami, które w niewolniczym hołdowaniu tej nowej modzie doszły do ostatecznych kresów — do Kamczatki. Bystry obserwator dostrzegł, że pod maską sztucznych zachwytów nad wszystkiem, co chorobliwe i niezrozumiałe, kryją się najpospolitsze natury burżuazyjne. Nazwę „Kamtchatka" nadaje autor ludziom tym przez usta swego bohatera, Pawła Lermy, jedynego przedstawiciela zdrowego sensu wpośród całej falangi ludzi zwaryowanych, a raczej udających zwaryowanie na punkcie źle zrozumianych nowych prądów estetycznych. Paweł Lermy jest artystą wybitnym, szczerym, wielbiącym prawdziwe piękno, człowiekiem obdarzonym zdrowemi nerwami i... zdrowym rozsądkiem; jego pogląd na sztukę i szczery kult piękna, dzieli z nim narzeczona jego, Klara, i oboje oni, znalazłszy się, dzięki przypadkowi życiowemu w całem tem towarzystwie, ale nie biorąc udziału w odgrywanej przez nie komedyi, są rezonerami utworu, w usta których autor wkłada własne swoje poglądy. A śmiesznych osobników w całem tem zgromadzeniu szereg liczny; więc przedewszystkiem: pani Toupin des Mares, żona bogatego fabrykanta łoju, grająca pierwsze skrzypce w orkiestrze hołdowników kamczackim modom, dająca dzieciom swoim imiona wagnerowskich bohaterów i wyrażająca gorące swe sympatye dla anarchistów, o których rozprawia z wybranym swego serca, romansopisarzem Gréveuillem (oczywiście oboje podczas tych rozmów rozpierają się na fotelach Ludwika XVI!) Stosunek pani des Mares z Gréveuillem nie jest spowodowany istotną potrzebą jej serca, ale jedynie chęcią modnego, wspólnego analizowania psychologii, osobistych uczuć, które dają zarazem kochankowi temat do jego poczytnych w tej sferze szkiców psychologicznych. Cały tłum bladolicych ascetów otacza tę parę i jednozgodnie unosi się nad obrazami „swoich" malarzy, nad poezyami „swoich" poetów, nad muzyką „swoich" geniuszów muzycznych, stanowczo gardząc dziełami ogólnie uznanych mistrzów klasycznych. Tłum ten otacza uwielbieniem wybitniejsze wpośród grona swego jednostki, np. Różę Coindart, morfinistkę, upijającą się tym narkotykiem z mody i gryzącą kredę bez potrzeby, lub przyjemności: Jacque Sivreus'a, syna skromnej rodziny mieszczańskiej, dążącego całemi siłami do „skomplikowania swej duszy" i redagującego pismo „Curare", naczelny organ, poświęcony sprawom i wrzekomym ideałom tego światka; dalej filozofa, nienawidzącego kobiet à la Strindberg i piszącego przeciwko nim całe traktaty — i wiele, wiele innych tym podobnych osobistości.

Kamczatka ma też swojego abbé Serbe'a, którego każdy ruch jest arcydziełem miękkości, mieszkającego w pokojach obitych białą materyą i żądającego podobnych ram od swoich owieczek. „Wszystko, co nas otacza — mówi ten duszpasterz — powinno być takie, aby prawie nie istniało i tylko otaczało dusze specyalnym zapachem. Bóg, żyjący w każdym osobniku, łatwiej jest dlań dostępnym w tych warunkach: nie spotyka żadnych przeszkód na swojej drodze".

Nad całym tym tłumem króluje aktorka, „princesse de Fourvandières", bardziej znana pod imieniem Suzu, której tytuł królowej należy się z racyi niezwykłej piękności, wyróżniającej ją śród grona karykaturalnych postaci umysłowej Kamczatki. Oto jej estetyczne wyznanie wiary: „Kocham abbé Serbe'a, artystę Trouguina (geniusza Kamczatki), czarno-aksamitno-listne storczyki i perfumy mojej własnej fabrykacyi, pachnące eterem i pieprzem. Podoba mi się trzeci akt „Parsifala", druga część „Fausta" i „Henryk VIII" Szekspira — inne jego dramaty zbyt są znane; lubię niektórych mistyków, zwłaszcza Jana Ewangelistę, rysunki Kardona, „Zarathustrę" Nietzschego, jasnozielony atłas i kanguru, kiedy są maleńkie, podobne do myszy. Oto wszystko! Po za tem reszta jest mi wstrętną, nienawistną i rozdrażnia mnie".

Już cała ta galerya postaci, niekiedy typowych, sama przez się składa się na zajmującą całość, w dodatku powieść obfituje w nader udatne ustępy, a naczelne w pośród nich miejsce należy się opisowi przedstawienia teatralnego na scenie teatru „Ame Ardente". Przedstawienie to składa się z trzech sztuk: „Les Etrailles" — brutalité sanglante en un acte; „Avenaga Korsor" — traduit du groenlandais de Vknijp norderie en deux glaçons i „Les beaux jours d'une essence — abstraction rimée. Oczywiście zgromadzona publiczność, składająca się wyłącznie z wyznawców nowej szkoły, unosi się nad pięknością scen, tłomaczy i komentuje każde zdanie, a zachwyt wzrasta, w miarę coraz mniejszego rozumienia mglistych, zawiłych i niedostępnych dla zdrowej logiki komplikacyi... Pod maską tych zachwytów kryje się z gruba ciosana, mieszczańska natura widzów, których w gruncie rzeczy obchodzą li tylko drobne egoistyczne względy, a głównie chęć pozornego stania na równi z duchowymi wybrańcami świata, ztąd obłuda i ciągłe odgrywanie śmiesznej komedyi, stanowiącej doskonały temat do udatnej i zajmującej Daudetowskiej satyry.

Trudno nadać utworowi temu nazwę powieści, fabuła bowiem bardzo jest uboga i występuje raczej jako nić, wiążąca pojedyńcze obrazki i szkice na tle obyczajów kliki wysnute. Niektóre z tych obrazków napisane są z niepospolitym talentem i siłą, zwłaszcza te sceny, gdzie poprzez zewnętrzny i sztuczny estetyzm przeziera psychologiczna prawda, jak np. w scenie między Suzu i oczarowanym jej wdziękami modnisiem salonowym, którego aktorka wyrzuca ze swego domu jedynie dla tego, że nie może odeń otrzymać żądanej wielkiej kwoty pieniędzy. Ta zimna i wyrachowana chciwość kobieca, odziana w szatę czcicielki piękna, świadczy o głębszem zrozumieniu natury ludzkiej i przekracza już miarę lekkiej satyry. W udanym estetyzmie tych ludzi odgrywa ważną rolę Florencya i jej sztuka. „Florencya jest — słowa powieści — jednocześnie rajem, Mekką i tytułem do sławy dla wszystkich członków Kamczatki".

Na drugi dzień przyszedł Smolarz pożegnać się.

Przywdział czarne ubranie, aby okazać Bojarskiemu, w szczególności zaś staremu pryncypałowi, jak wysoko go szanuje. Trochę niezgrabnie wyglądał w odświętnych szatach, uszytych na wyrost, ale niezwykła powaga przebijająca się na starannie wygolonej twarzy i uroczysty nastrój ducha, czyniły go pięknym i pociągającym.

Układał w myśli, co ma powiedzieć na pożegnanie panu Kajetanowi, jak przemówić do pani Marcysi, jak wreszcie rozstać się z Lolą. I to ostatnie pożegnanie było dlań najtrudniejsze i najprzykszejsze. Powiedzieć przecie coś trzeba, ale co? Może życzyć jej poważnie, statecznie szczęścia w przyszłem życiu, może śmiać się i zbyć ją jakim żartem, może serdecznie uścisnąć za rękę i nic nie powiedzieć, a może ukłonić się tylko z daleka i odejść bez słów wymiany? Wszystko to wydało mu się niestosowne; jedno było za chłodne, drugie za serdeczne, trzecie za szczere, czwarte za zimne.

Nim jeszcze zdołał cokolwiek w tym względzie postanowić, weszła do pokoju Lola i usiadła naprzeciw. Miała ona dziś zaczerwienione oczy i wypieki na twarzy, a uśmiechała się ciepło i przyjaźnie.

— Pan przyszedł pożegnać się? — zagadnęła, rozprzestrzeniając fałdy fartuszka.

— Tak, panno Lolu.

Nie odpowiedziała na to, lecz, bawiąc się fałdami i koronkami fartuszka, zdawała się namyślać; wreszcie rzekła:

— Ja wiem dla czego pan wyjeżdża....

Zaskoczony niespodzianie tem odezwaniem się Smolarz, roztworzył usta i czekał niepewny, jak się ma zachować.

Lola zaś ciągnęła dalej, podnosząc nań oczy.

— My kobiety jesteśmy złe i domyślne; przynajmniej ja taką jestem. A zresztą nie potrzebuję przechwalać się domyślnością, wszak Anulka jest moją przyjaciółką i nie robi przedemną żadnych tajemnic. Otóż nie chcę, abyś pan z żalem nas opuszczał i dla tego postanowiłam rozstać się z panem jak... jak z bratem.... A może po naszej rozmowie nie będziesz się pan na mnie gniewał i może... może jeszcze zostaniesz.

Smolarz czuje, że go coś ciśnie za gardło. Zapłakane oczy Loli, takie jakieś rzewne i serdeczne, a słowa jej takie ciepłe, poczciwe i drogie, że tylko życie oddać dla tej kobiety co umie tak ślicznie patrzeć i mówić. Pod wrażeniem słów poczciwych i owych oczu czarownych, Smolarz nie wie co począć z sobą. Pomieszany, wydobywa zatem chustkę z kieszeni i bezwiednie owija ją na wskazujący palec.

Ale dziewczyna jest również tak dalece wzruszona i rozrzewniona, że nie spostrzega nawet zabawnego tego objawu pomieszania. Wyciąga więc wzdłuż stołu rękę ku niemu i powiada dalej:

— Panie Franciszku, pan jesteś bardzo zacnym i prawym człowiekiem; drugiego takiego chyba nie ma na świecie. Ja chciałabym panu coś powiedzieć.... Ojciec pozwolił mi rozglądnąć się za mężem. Nie ładnie to, gdy dziewczyna sama sobie męża szuka, ale ja wiem, że pan masz dziwne jakieś skrupuły i nieśmiałość swoją posuwasz aż do przesady. Otóż powiedz pan szczerze, czy chciałbyś, abym została pańską żoną?

— Czy ja.... panno Lolu, czy ja chciałbym? — zaśmiał się Smolarz, pełen nieopisanej radości, a krzyknął tak głośno, że aż przysiadł, przerażony silnym odgłosem słów własnych.

— Więc chciałbyś pan? — badała Lola dalej, nie cofając położonej wzdłuż stołu ręki.

— Ach, mój Boże!.... — jęknął i przejechał palcami po skroni. Ja sam dotąd dokładnie nie wiedziałem, że ja pannę Lolę tak bardzo kocham. Ale gdym pomyślał, że pani wyjdzie za Dynieckiego, to.... to chciałem uciec ztąd daleko, jak najdalej.

— O Dynieckim nie mówmy już nigdy...

— Tak jest, o nim nie warto mówić, to prawda, to wielka prawda, panno Lolu,

„Jadę do Florencyi“ — to znaczy: „wznoszę się ponad szary tłum i wyróżniam się wpośród niego“. Florencya, spędzanie długich godzin roligijnej ekstazy w Uffiziach, oglądanie Botticelliego a przedewszystkiem wysłuchanie Wagnerowskiego „Parsifala“ to wszystko święci na kapłaństwo i daje prawo do zaszczytnego i tak pożądanego tytułu „Kamczatka“. Ubóstwianie Florencyi i jej rzeczywistych skarbów sztuki, niezrozumiałych dla wszystkich tych powierzchownych natur, zapożyczone jest naturalnie od prerafaelitów. Dante-Gabryel Rossetti i Burre-Jones stworzyli bezwątpienia nowy typ piękna, ale jakże dalekiemi są sztuczne zachwyty abbé Serbe'a, aktorki Suzu, Trouguina i im podobnych od artystycznych ideałów, od głębokiego nastroju duchowego, od szczerego kultu piękna, cechującego istotnych prowodyrów nowej estetycznej szkoły.

R. C.

Mierzwiński-redivivus.

Mierzwiński przyjechał do Warszawy i jest bohaterem chwili; wszyscy się nim troszczą, wszyscy się o niego dopytują i wyczekują z niecierpliwością zapowiedzianego na przyszłą sobotę koncertu, którego dochód „król tenorów“ przeznaczył znowu z królewską hojnością, na pomnik dla Moniuszki.

Pierwszy jego występ przed kilku laty przyniósł około 4000 rs. Drugi przyniesie również tyle, jeżeli nie więcej, bo zainteresowanie dla koncertanta, oprócz samego celu, jest jeszcze większe dzisiaj, niż było dawniej; zatem powiedzieć można, że znakomity śpiewak z własnej kieszeni przeznaczył ofiarę 7—8000 rubli. dla uczczenia pamięci największego u nas mistrza pieśni, bo dochód z obu koncertów mógłby zatrzymać sobie, co, zwłaszcza w dzisiejszych jego interesach finansowych, byłoby rzeczą całkiem naturalną.

Jest to tedy dowód dobrego serca i pewnej obywatelskości, nie często chodzącej w parze z talentem u nas; ale Mierzwiński miewa swoje ambicye i swoje fantazye, poczuwa się do solidarności ze społeczeństwem, do której należy i kocha swoją rodzinną Warszawę, której, wzorem swych wielkich kolegów i koleżanek nie unika, pomimo wszystkich tryumfów u obcych. Zdaje się, że jeśli Kochańska napisała tylko efektowny aforyzm: „Miło śpiewać obcym, lecz swoim najmilej, to Mierzwiński za nią, za siebie i za wielu innych zasadę tę czynnie wykonywa.

Ztąd ta wielka popularność i sympatya, jaką się cieszy u polskiej publiczności i prasy; umiał i chciał na nią zasłużyć.

Przed czterema laty, gdy mu się coś zepsuło w tem lwiem gardle, w którem się gnieżdżą jakby olbrzymie słowiki, i kiedy musiał zaprzestać występów na scenie i na estradzie, rzekł, wyjeżdżając z Warszawy:

— Skoro rozpocznę na nowo śpiewać, to u was pierwszy raz wystąpię!...

Nie była to tylko obietnica na wiatr rzucona, dla efektu, ale szczery i rzeczywisty zamiar, który dzisiaj doprowadza do skutku. Odzyskał głos i przyjechał dać koncert w Warszawie na pomnik dla Moniuszki, któremu „wdzięczna publiczność“ pozwoliła czekać do tej pory w rozsychającej się glinie pod dłutem p. Marczewskiego.

Tłumy wielbicielek i wielbicieli znakomitego artysty nie mogą doczekać się tej soboty, w której powitać go mają na estradzie i usłyszeć znowu ten głos fenomenalny, dźwięczny, jędrny, prawdziwie męzki, który elektryzował swoją potęgą miłośników i znawców śpiewu, przejmował ich dreszczem zachwytu i w podziw wprawiał.

Przed cztercma laty zanosiło się na to, iż Mierzwińskiego nie usłyszymy więcej, że niepowrotnie najwspanialszy z Raulów i Radamesów zejdzie ze sceny. Rozsiewano pogłoski z tą pochopnością do krańcowych sądów, iż Mierzwiński głos stracił zupełnie, że mu dr. Heryng swoją chirurgiczną operacyą strun głosowych zepsuł gardło do reszty, etc., etc. Tymczasem system kuracyi naszego niepospolitego laryngologa okazał się właśnie zbawiennym dla tak słynnego pacyenta, który dzisiaj potrzebuje tylko usta otworzyć, aby zagłuszyć wszystkie plotki i szmery zawiści.

Miałem sposobność wraz z kilkoma kolegami z prasy, usłyszeć Mierzwińskiego zaraz po przyjeździe do Warszawy; był znużony czterodniową podróżą, niewypoczęty, niewyspany, a mimo to w salonie państwa L. śpiewał przez kilka godzin tak, żeśmy słuchali z coraz bardziej rosnącem zdumieniem i nie mogli się powstrzymać, by mu się na szyję nie rzucić z zachwytu.

Ta sama siła i dźwięczność tonu, ta sama energia, którą zawsze imponował, ta sama olbrzymia wytrzymałość i prześwietna emisya, tylko... z dodatkiem nowych i niespodzianych nabytków wokalnej techniki; dzisiaj głos jego nabrał też aksamitnej miękkości, liryzmu, finezyi, umie pieścić zarówno słuch, jak wstrząsać go potęgą woluminu i ekspresyi. Przybyło mu coś z deklamacyi Reszkego i słodkiej melancholii Myszugi w śpiewie, a przytem nie przestał być Mierzwińskim, to jest bohaterskim na wskroś tenorem operowym, który tryumfował na wszystkich pierwszorzędnych scenach w Europie. Ma znowu milion w gardle i będzie go miał jeszcze w kieszeni, gdy swoje piersiowe *cis* przemieni na złoto. Po za tem nie zmienił się wcale i jest zawsze tym samym typem męzkiej tężyzny i piękności, wesołym, rozbawionym, oryginalnym w swoim humorze i dowcipach, jaskrawym trochę w manierach, łatwo przystępnym i towarzyskim, lubiącym popisywać się swoją wielostronnością amatorską i nieznużonym gawędziarzem w dobranych kółkach. Siąść do fortepianu i wygrywać swoje walczyki *à la* Strauss, przedrzeźniać Wagnera, gwizdać lepiej od Kostrzewskiego, rysować karykatury, naśladować znajomych i opowiadać tysiące anegdot ze świata sztuki, to u niego fraszka.

Ta przymieszka uniwersalności dyletanckiej cechuje jednak naturę artystyczną i zdolności niezaprzeczone w rozmaitych kierunkach, których tylko poważniejsze studya nie rozwinęły; spryt, zmysł spostrzegawczy, pamięć i to, co francuzi nazywają: *esprit d'apropos* stanowią niepospolite zalety Mierzwińskiego, jako człowieka w życiu prywatnem. Nie braknie mu nigdy na ciętych odpowiedziach, które nie zawsze zyskują mu przyjaciół.

Jedna z naszych entuzyastycznych weredyczek, nie umiejąca poskromić swojego języka i swady, godnej adwokata, po jakimś koncercie, zbliżyła się do niego i na cały

---

dobrze, że pani tak myśli i mówi — ale co ja właściwie jestem? co ja znaczę w obec niego? ja, biedny chłopak bez szkół i majątku, taz ja nic a nic nie mam, jak tylko tych dziesięć palców do pracy.

— I o tem nigdy już nie mówmy. Pan masz stokroć więcej od niego, bo masz Pan serce i jesteś prawym człowiekiem. Co zaś do majątku, to ojciec posiada tyle, że starczy dla nas obojga.

Smolarz westchnął i utkwił rozmarzone oczy w oblicze Loli, która wydała mu się w tej chwili świętą. Ona tymczasem zdjęła z palca pierścionek z turkusem i podała mu go, mówiąc:

— To moja przysięga.

— Ach, panno Lolu — westchnął znowu, porwał jej rękę z pierścionkiem i przycisnął ją do ust namiętnie.

— Musze sama założyć panu na palec zaręczynową obrączkę, bo pan nie potrafisz. Będzie troche za ciasna.

Wstała. Przez chwilę snuły się zwinne jej drobne, białe i pulchne paluszki, zarożowione dokoła paznogci, przy czarnej, kościstej dłoni pracownika młota. Smolarz rozczepił palce i uśmiecha sie rozkosznie, patrząc na Lole.

Gdy pierścionek dosięgnął nakoniec szczęśliwie miejsca przeznaczenia, zawołała dziewczyna:

— Otóż jesteś pan moim narzeczonym. A teraz chodźmy oboje do ojca i powiedzmy mu co się stało. Niech nas pobłogosławi. Będzie bardzo szczęśliwy.

Wsunęła rękę pod ramię Smolarza i powiodła go do Borajskiego,

Nie trzeba, zdaje się, dodawać, że pan Kajetan, dowiedziawszy się o postanowieniu córki, przycisnął ją i przyszłego zięcia gorąco do serca, że pomrugał załzawionemi oczami i wzruszonym głosem dał swe przyzwolenie i błogosławieństwo. A nawet pani Marcysia zdobyła się na serdeczny ton i wśród życzeń pocałowała pasierbicę w czoło, które na sekundę przed tym pocałunkiem pokryło się drgającemi fałdami.

Radość Anulki granic nie miała.

Wnet też rozeszła się po Kołczanowie wiadomość o postanowieniu Loli Borajskiej. Niby kawki w jesieni, zakrążyły nad miastem gromady uwag i sąsiedzkich ploteczek. Ten i ów mniej interesowany, chwalił krok dziewczyny, tamten się dziwił, inny zazdrościł Smolarzowi. Raniecki klął, Szołomiejski rozumował.

Tak więc, nim księżyc po raz wtóry zajrzał w oczy Dynieckiemu i zapytał go, dla czego lekceważy szczere uczucie sieroty i czyni sobie zeń chwilowa igraszkę, dziewczyna zemściła się nad pięknm przeniewiercą w doraźny sposób. Czyn jej, dokonany pod chwilowem, namiętnem wrażeniem, zdawał się powiadać: Nie szanujesz mnie? — dobrze! Nie dbam o ciebie i gardzę tobą. Na twoje miejsce będzie inny, dziesięciu innych, gdy tylko zechcę. Wiedz zatem, że nie ty jeden jesteś na świecie, ale są inni, stokroć poczciwsi i zacniejsi i że ty w obec nich wydajesz mi się dzisiaj nędznym i podłym człowiekiem, dla którego nie mam w sercu nic więcej nad wzgardę.

Ostatecznie Lola nie zastanawiała się zbytnio nad tem, co czyni, obojętnem jej było, komu odda rękę; miasto Smolarza mógł być kto inny, byle tylko był jak najprędzej jej narzeczonym, byle Dyniecki poczuł w dosadny a dotkliwy sposób, że może być lekceważonym i poniżonym podobnie jak sam lekceważył i poniżał.

Szczęście to, że Smolarz był godnem narzędziem zemsty, narzędziem co niszcząc przeciwnika, nie kaleczy równocześnie ręki mściciela.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

głos rzekła w formie zbyt przydymionego komplimentu:

— Śpiewasz pan ślicznie, ale mnie nie porwałeś!...

— Trzydzieści lat temu byłbym panią może i porwał! — odparł z miejsca pięćdziesięcioletniej babuleńce.

Innym razem w Paryżu jakiś złośliwy dziennikarczyk, chcąc mu dociąć, zagadnął go z ironią:

— Panie *Mierswęski*, czy to prawda, że istnieje przysłowie: „Pijany, jak polak“?

„Mierswęski“ całkiem poważnie i z godnością, ale nadzwyczaj uprzejmie dał paryżaninowi lekcyę dobrego tonu, odpowiedziawszy:

— Takiego przysłowia nie słyszałem, ale u nas się mówi: „Grzeczny jak francuz!...

Kiedy „król tenorów“ i „tenor królów“ śpiewał pewnego razu na salonach zmarłego cesarza Wilhelma, który go szczególniejszemi względami zaszczycał, ówczesny następca tronu, a późniejszy cesarz Fryderyk, zbliżył się do niego z pochwałami i spytał:

— Panie Mierzwiński, dla czego pan tak późno dałeś się słyszeć w Berlinie?

Artysta skłonił się nizko i z uśmiechem odrzekł:

— Wszak wasza cesarska wysokość wie o tem, że każdy tenor jest głupi!

W tym rodzaju możnaby przytoczyć mnóstwo anegdot z życia Mierzwińskiego, zadających kłam przysłowiowej opinii tenorów. Na pochwałę jego dodać jeszcze należy, że nigdy i nigdzie nie starał się przybrać bardziej kosmopolitycznej cechy i choćby przybrać nazwisko, nad którem cudzoziemcy nie potrzebowaliby sobie łamać języków; szczególniej we Francyi, gdzie musiałby się pisać chyba „*Miergevignecequi*“, chcąc, aby go poprawnie wymawiano nad Sekwaną.

Dzisiejszy *impresario* Mierzwińskiego, p. Heller, brat znanej primadonny, który w roku zeszłym zaimponował publiczności krakowskiej zorganizowaniem opery polskiej, nosi się ze śmiałą myślą złożenia trupy z najcelniejszych śpiewaków i śpiewaczek naszych, by objeżdżać z nią większe miasta europejskie i „nasze sławy“ w dobranym komplecie zaprodukować zagranicy. Poprawiłoby to opinię naszej opery muzycznej po smutnej pamięci wystawie w Wiedniu. Posiadamy dzisiaj przecie świetny zastęp talentów i artystów, którzy zaszczyt przynoszą naszej sztuce; dość wymienić nazwiska: Reszków, Mierzwińskiego, Myszugi, Rotmila, Warmutha, Grąbczewskiego, Kochańskiej, Hellerówny, Klamrzyńskiej, Arklowej, Konarskiej, Dąbrowskiej, Camillowej, Abendrotówny, Szlezygerówny i wielu innych jeszcze, mniej znanych i głośnych. Jest w czem wybierać.

Mar. Gawalewicz.

BADANIA NAUKOWE.

SAMOBÓJSTWO.

W szeregu klęsk społecznych, trapiących ród ludzki od najdawniejszych czasów, samobójstwo zajmuje jedno z miejsc wybitniejszych. Potępione i wyklęte przez moralistów, cechą szaleństwa napiętnowane przez uczonych, używane wielokrotnie, jako ponętny i efektowny motyw literacki przez poetów dawnych i nowoczesnych, nie przestaje samobójstwo i w chwili obecnej wybierać corocznie obfitego haraczu od wszystkich cywilizowanych narodów. Owszem, w ciągu bieżącego stulecia niszcząca jego siła we wszystkich prawie krajach wzrosła parokrotnie, a o ogromie spustoszenia, jakie z tego źródła spływa na społeczeństwo, daje już pewne pojęcie fakt, że w ciągu ostatnich lat paru w samej Europie 60,000 osób corocznie schodzi przez nie dobrowolnie do grobu.

Uczeni i myśliciele wszelkich odcieni zwrócili oddawna uwagę na tę klęskę, starając się odnaleść i wskazać jej główne przyczyny. Powstała tym sposobem na Zachodzie cała literatura, poświęcona kwestyi samobójstwa, przyczem wskazywane źródła złego znajdowały się w ścisłej zależności od stanowiska, jakie zajmował uczony. Teolog widział tu przedewszystkiem skutki upadku wiary i moralności, lekarz — zboczenie umysłowe, socyolog i ekonomista — wynik złych stosunków gospodarczych. Za chorobę umysłową uważają samobójstwo stary Auenbrugger i Esquirol; Meckel, Heinroth, Stark i Brierre de Boismont przypuszczają, że popełnia się je najczęściej w stanie obłąkania; Oettingen i Masaryk, jako właściwy powód, podają brak wiary i cywilizacyę; Morselli uważa je za jeden z wielu środków przyrody, dążącej w walce o byt do usunięcia z życia jednostek, upośledzonych pod względem umysłowym lub cielesnym; Quetelet wreszcie i Adolf Wagner widzą w częstych samobójstwach zjawisko prawidłowe i niemal naturalne. Słynny statystyk belgijski w dziele swojem: *„Sur l' homme et le développement de ses facultés“* mówi o niem między innemi: „Społeczeństwo nosi w swem łonie zarody wszystkich zbrodni, które mają być popełniane, wraz ze sposobnościami do nich. One przygotowują niejako do zbrodni, a sam winowajca jest tylko narzędziem do ich wykonania... Budżet corocznych zbrodni daje się naprzód obliczyć. Ilość też samobójstw powtarza się rok rocznie tak, iż można mniej-więcej zapowiedzieć, ile ich będzie w roku następującym.“ Podobne zapatrywanie wygłosił niegdyś i Buckle, którego zdaniem „samobójstwo jest jedynie wynikiem ogólnego stanu społeczeństwa, a każdy pojedyńczy przestępca urzeczywistnia tylko to, co jest niezbędnym skutkiem istniejących warunków. W danem położeniu społeczeństwa musi pewna ilość jego członków, sama położyć kres swemu istnieniu“.

W polskiej literaturze naukowej samobójstwem zajmowano się dotąd niewiele. Wydane przed kilkunastu laty we Lwowie dziełko hr. Maurycego Dzieduszyckiego p. t. „Samobójstwo“ jest jednostronną dosyć historyą poglądów na ten smutny objaw życia, jakie panowały w literaturze od najdawniejszych czasów aż do nowych. Dziełko to świadczy wprawdzie pochlebnie o pracowitości i oczytaniu autora, ale dzisiejszym potrzebom nie odpowiada bynajmniej. Świeżo natomiast pod takim samym tytułem ukazało się na półkach księgarskich wydane dwa lata temu w Berlinie studyum krytyczne Dr. Eugeniusza Rehfisch'a (przekład Wiktora D.

NAUCZYCIEL.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

przez

M. WITOROZA.

(Ciąg dalszy).

W czasie konferencyi odczytywał swoje uwagi, wobec całego grona nauczycieli, tonem grobowym, stanowczym i mentorskim, dopatrując się we wszelkiej usterce złej woli, lekkomyślnego zaniedbania obowiązku braku uzdolnienia i chęci. Czasem wypadały półgębkiem wypowiadane łaskawe pochwały, które jednak ludzi dojrzałych, sumiennych i wykształconych hańbiły, jak policzki. Po skończeniu uwag, zapytywał: „Czy kto z panów zechce obronę swą umieścić w protokóle?“ Protokół bowiem pisano z tych posiedzeń, jak w sądzie, a całe grono było niejako w stanie oskarżenia. Cisza naówczas zaległa w sali, jak makiem posiał. Któżby się bronić odważył? Byłaby to wojna z przełożonym. Doświadczeni wiedzieli, czem to pachnie. Zdarzało się czasem, że niebaczny młodzian, który w ogniu konferecyjnym jeszcze nie był, godności stanu akademickiego jeszcze się nie pozbył, oburzony gromami, jakie nań spadły, i formą, w jakiej były wypowiedziane, oburzony podejrzeniem niedbalstwa, lub zarzutem nieudolności, zgłaszał się drżącym z gniewu głosem i dyktował dorywcze swe i nieobmyślone usprawiedliwienie, które oczywiście wypadało co do rzeczy i formy dziwacznie i zapisywało go w pamięci władz na czas długi, jako ograniczonego. Zwykłym skutkiem takiej obrony był wyraz „ubolewania“ władz wyższych. Z tego powodu i mnie dostały się trzy takie „ubolewania“; czwartego już nie czekając, podziękowałem tak za „ubolewania“, jak za 25 zł. miesięcznie.

Tak sparzył się podobno parę razy Bielusz, nim wreszcie stopniowo pozbył się samodzielności i nabył rutyny w mechanicznem pełnieniu przepisów i pokornem uważaniu wyroków przełożonego za nieomylne.

Ale niezbyt dawno zaszła w tych stosunkach nagła i wielce tragiczna zmiana. W górnych sferach powiały jakieś inne prądy; dymisye posypały się, jak ulęgałki w czasie burzy; pewnego pięknego poranku do Wadowic przyjechał — jak mi opowiadano, jakiś przystojny, młody i energiczny inspektor szkolny, nowo mianowany, i po dwutygodniowej hospitacyi, sypnął gromami na cały zakład i na sposób nauczania. Uczniów porównał z kryminalistami, nauczycieli z inkwizytorami, zakład z zapleśniałem więzieniem. Po odjeździe młodego i przystojnego inspektora, niektórzy nauczyciele podobno dmuchali pokryjomu w kułak, ale ambitny dyrektor zachorował na żółtaczkę. Nim się z niej wyleczył, przyszło przeniesienie go w tymczasowy stan spoczynku, wraz z przeniesieniem niektórych nauczycieli i mianowaniem nowych. Przybył także nowo mianowany dyrektor, o którym panie miejscowe orzekły, że także był przystojny.

Bielusz pozostał na stanowisku. Rzecz prosta, że nie łatwo mu pozbyć się było silnie w ciągu kilkunastu lat wkorzenionej rutyny i że teraz może znowu bierze gorzkie pigułki.

Pod wpływem opowiadania tego, profesor uniwersytetu pogrążył się w zadumę, wywołując w pamięci obraz dawnego przyjaciela. W jego wyobraźni odżyły znane rysy: białe, jak kość słoniowa, czoło, otoczone wieńcem ciemnych włosów, oczy wielkie, błękitne, w których błyszczały to rzewność, to zapał, łagodny, pełen melancholii uśmiech, cała postać szczupła, ale skromna i pełna wdzięku.

— Był bardzo przystojnym — myślał — a teraz, ciekawym, jaki teraz?

Godzina była 3 po południu. Pociąg ze zwykłym zgrzytem zajechał przed stacyę. „Wadowice!“ — zawołał konduktor. Dziekan, pożegnawszy się, wysiadł i wraz ze swym Jurkiem pojechał do siostry, która od paru miesięcy dopiero mieszka w Wadowicach.

W godzinę potem przyszedł do wskazanego mu mieszkania Bielusza. Dom stał

Warszawa, 1895), w którem autor do badań Quetelet'a, Masaryka, Oettingena, Morselli'ego i innych dołącza i własne spostrzeżenia, korzystając z nieuwzględnionego dotąd nigdzie obfitego materyału statystycznego z lat od 1878 do 1889.

Uważając samobójstwo za ostatnie ogniwo łańcucha stanów patologicznych, pierwsze jego motywy upatruje dr. Rehfisch w stosunkach społecznych. One to wytłomaczyć nam mają niepomiernie szybki wzrost samobójstwa w ciągu ostatniego stulecia w stosunku, przewyższającym o wiele odpowiedni przyrost ludności. Nadzwyczaj trudne warunki bytu i wypływająca ztąd nędza w klasach niższych, miejskiej zwłaszcza ludności, często bardzo wywołuje w tej sferze alkoholizm, odgrywający w kwestyi samobójstwa pierwszorzędną rolę. Jednocześnie ciągłe współzawodnictwo, zazdrość i żądza użycia doprowadza wyższe klasy do strasznego rozstroju nerwowego, wytwarzając wśród nich odpowiednie podścielisko dla samobójstwa. Cywilizacya, błogosławiona w swych skutkach dla ogółu, częstokroć zgubną się staje dla jednostek.

Zastanawiając się dalej nad przyczynami wywołującemi tak wielką ilość strasznych wypadków w dziedzinie samobójstwa, musimy zwrócić uwagę na dwa potężne czynniki: dziedziczność i zarazę duchową.

„Literatura, powiada dr. Rehfisch, zna mnóstwo wypadków gdzie samobójstwo przechodziło nietylko z ojca na syna, ale na wnuków i linie boczne.“ W organach potomstwa znajdujemy zwykle te same zmiany, jakie charakteryzują wogóle ciała rodziców.

Więcej jeszcze niż o dziedziczności, da się powiedzieć tutaj o zarazie duchowej, która, ogarnąwszy wszechwładnie wszystkie sfery życia, i na rozwój samobójstwa wywiera wpływ wielki. Jeszcze Plutarch wspomina o manii samobójczej u dziewic w Milecie, która przybrała tak zatrważające rozmiary, że władze, w celu powstrzymania epidemii, rozkazały wystawić na widok publiczny obnażone zwłoki jednej z samobójczyń, co też odrazu pożądany skutek wywarło. Znanym jest również fakt, że po wyjściu „Werthera“ Göthego, wielu młodych ludzi, przeczytawszy tę książkę, odebrało sobie życie za przykładem jej bohatera. W 1772 roku 15 inwalidów powiesiło się jeden po drugim na haku, wystającym przy którejś z ulic, aż go wreszcie usunąć musiano. Przykłady podobne możnaby mnożyć bez końca.

Słusznie jednak zauważył dr. Rehfisch, że w naszych czasach zaraza samobójstwa rozszerza się najwięcej przez prasę codzienną, która, zamieszczając bez ustanku w swych szpaltach szczegółowe opisy wypadków samobójczych, skłania do naśladownictwa mnóstwo słabych osobników.

Badania dawniejszych pisarzy, zajmujących się kwestyą samobójstwa na podstawie danych statystycznych do roku 1878, zaznaczają fakt, że klęska ta w ciągu ostatnich kilku dziesiątków lat wzrasta niezmiernie. Autor jednak, z którego głównie czerpiemy tutaj dane, zestawiwszy 300,000 wypadków, zaszłych w ciągu dziesięciolecia od r. 1878 do r. 1888 przychodzi do pocieszającego wniosku, że wogóle samobójstwo minęło już swój punkt kulminacyjny, cyfry wypadków stają się coraz regularniejsze i rzadko przekraczają maximum. Kiedy liczba samobójstw we wszystkich prawie krajach powiększyła się czterokrotnie od r. 1820 do 1878, to obecnie albo zmniejsza się, albo tam, gdzie rośnie, przyrost ten jest mniejszy w stosunku do lat dawnych, o czem najlepiej przekonać się możemy, biorąc pod uwagę liczby względne wypadków, t. j. na milion mieszkańców. Wogóle w obliczeniach swoich Rehfisch dzieli wszystkie państwa na trzy klasy, odpowiednio do zachodzących w nich zmian w rozwoju samobójstwa. Do pierwszej z nich zaliczyć należy te kraje w których samobójstwo w ostatnich latach zmniejsza się stanowczo. Należą tutaj: Prusy, Saksonia, Królestwo Wirtemberskie, Szwajcarya i Rosya. Ciekawem jest zmniejszanie się samobójstwa w Saksonii, w której wypadki odbierania sobie życia zwiększały się wciąż ilościowo aż do roku 1883. Rok ten przyniósł Saksonii najwyższą względną cyfrę wypadków, jaka kiedykolwiek zaznaczoną została (360 na milion mieszkańców), poczem cyfry z roku na rok spadać zaczęły, chociaż ludność od roku 1886 do roku 1890 wzrosła o 10 procent.

Większość państw europejskich należy do drugiej klasy, w której liczba samobójstw, nie zwiększając się, ani zmniejszając, utrzymuje się w ostatniem dziesięcioleciu na jednej prawie wysokości. Do kategoryi tej zalicza autor Austrję, Norwegję, Danję, Ks. Badeńskie, Włochy, Ks. Heskie, Anglję i Irlandję. Na uwagę zasługują tu głównie: Norwegja i Anglja. Pierwsza jest jedynym krajem w Europie, który za naszych czasów poszczycić się może mniejszą ilością samobójstw, niż w r. 1830, — wogóle też zachodzi tutaj minimalna ilość wypadków, bo tylko 66 na milion mieszkańców. Co do Anglii to koniecznie sprostowania wymaga błędna opinia, wyrobiona jej jeszcze przez Montesqujusza, który ją nazwał klasycznym krajem samobójstw. W rzeczywistości zachodzi tu o wiele mniej tego rodzaju wypadków, niż w innych państwach. Podczas bowiem, gdy w Prusach zdarza się ich 200 na milion mieszkańców, w Austryi 160, w Saksonii 350, we Francyi 200, to w Anglii cyfra ich przekracza rzadko 75, co do pewnego stopnia wytłómaczyć można nadzwyczaj rozwiniętą w tym kraju emigracyą, która sama przez się usuwa większość niezadowolonych żywiołów. Do kategoryi wreszcie państw, w których samobójstwo wzrasta ustawicznie, należą: Francya, Belgia, Szwecya i Bawarya. Francya zwraca na siebie pod tym względem uwagę już przez to, że powiększanie się ilości wypadków samobójczych ma w niej miejsce jednocześnie z nader małym przyrostem ludności. Względna liczba samobójstw podniosła się tutaj od roku 1827 do 1887 z 44 na 214, a więc do 450%. Zauważyć jednak należy, że zarówno w tym kraju, jak i w innych, epoki wojen i wogóle wielkich katastrof politycznych, odwracając powszechną uwagę od bólów osobistej natury, wywierają wpływ ujemny na rozwój manii samobójczej i wzrost jej znacznie tamują. Widzimy to we Francyi w latach 1852, 1857 — 59, a zwłaszcza w roku 1870, w którym zwykła liczba samobójstw zmniejszyła się o tysiąc wypadków.

Przechodząc teraz do ciekawej kwestyi wpływu na samobójstwo płci, stanu, wieku i zawodu, zauważyć musimy, że wsród kobiet zdarza się ono o wiele rzadziej, niż u mężczyzn, narażonych na większe niebezpieczeństwa w codziennej walce o byt. Na czterech samobójców wypada zwykle jedna kobieta, w Szwajcaryi nawet znajdujemy

---

w ciasnym, brudnym zaułku; między sklepami i jatkami ledwo dojrzeć można było małą bramkę. Wszedł do niej i przy świetle zapałki, zaledwie palącej się w stęchłem powietrzu, omijając jakieś paki i kosze, dostał się do nadgniłych i niemytych nigdy schodów.

„Co za dziwactwo — myślał — mieszkać tak niehygienicznie“. Szczęśliwie dostał się do drzwi na drugiem piętrze i kilkakrotnie zapukał. Otworzyły się wreszcie, i równocześnie wszystkie zmysły gościa doznały niemiłego wrażenia. Rozległ się ostry krzyk jakiejś kobiety, zapewne służącej: „Przecież wszyscy wiedzą, że pan w domu nie przyjmuje!“ Buchnęła para, cuchnąca bielizną i mydłem, otworzył się widok na kuchnię, w której nieład szedł o lepsze z niechlujstwem. Tam bielał stos nieupranej bielizny, tu czerniły się porozrzucane węgle i niemyte garnki, owdzie porozgniatane na stole kawałki ugotowanych ziemniaków nie wzbudzały wcale apetytu. Ogromna na środku balia z mydlinami i kałuże na podłodze świadczyły o wielkiem praniu.

— Jeżeli jest pan w domu, to proszę uwiadomić, mnie przyjmie z pewnością.

— Jak sobie pan chce, ja mówię, że lepiej się wynieść, — rzekła niezbyt salonowo, ale poszła spełnić polecenie.

Po chwili wyszedł człowiek wychudły i skurczony. Surdut miał czarny, pod szyję zapięty, sięgający do kolan, poplamiony; siwe włosy były może kilka dni nieczesane; trzymał jakiś papier w jednej ręce, drugą poprawiał okulary. Nie zważając na giest rąk gościa i pierwsze jego wyrazy, przerwał mu głosem monotonnym i suchym:

— Przepraszam. Paragraf 19 przepisów szkolnych jasno i wyraźnie opiewa: „Wszelkie wyjaśnienia udziela się stronom w kancelaryi gimnazyalnej co niedzieli, między godziną 9 a 10“.

Odczytawszy to, skłonił się sztywnie i odchodził już z kuchni.

Gość był wzruszony widokiem dawnego przyjaciela. Jakże się zmienił, jak zestarzał, zgarbił się we dwoje, wysechł! I może nie słysząc tego, co mu Bielusz przed chwilą odczytywał, zawoł serdecznie:

— Stachu kochany! Nie poznajesz mnie?

W tym czasie weszła już była służąca i, wyjmując kawały mokrej bielizny z balii, bez ceremonii rzucała je z zamachem na stół, aż bryzgi ochlapywały obecnych; robiła przytem uwagi: „A to natręt, patrzcie ino, a mówiłam, żeby sobie wyjszedł hanok“.

Bielusz nerwowo sięgnął ku głowie, jakby sobie uszy zatykał: potem z przyciskiem oddzielając wyrazy, przemawiać począł do służącej:

— Małgorzato, zastanów się powoli, *festina lente!* Nie mówi się wyjszedł, tylko wyszedł! Nie mówi się hanok! Zastanów się, powoli!

Ale Małgorzata wpadała w gniew coraz większy i byłoby pewno przyszło do groźnej sceny, gdyby gość nie był ujął za rękę gospodarza domu i siłą prawie nie wyprowadził go do sąsiedniego pokoju. Na twarzy Bielusza odmalowało się zdumienie bez granic i widoczna obawa. Powtarzał wciąż:

— Przepraszam, nie rozumiem, czego pan sobie życzy; może się pan myli, nie miałbym tego za złe, *errare hamanum est.*

— Ale, mój Stachu, przypomnijże sobie lata szkolne, nie poznajesz Józefa Charskiego?

Wymówione nazwisko widoczny wpływ na Bielusza wywarło. Obawa zniknęła. Szeroko rozwartym i osłupiałym wzrokiem patrzał na przybysza; powoli rozlewało się na twarzy jakby rozrzewnienie.

— Charski, Józef Charski — powtarzał półgłosem. — Przepraszam, usiądę, jestem nieco zmęczony, muszę pomyśleć, to tak niespodzianie się stało, usiądę.

Usiadł. Toż samo uczynił Charski, przysunął się do Bielusza z krzesłem i, ująwszy jego rękę, mówił:

— Tak, tak, przyjechałem odwiedzić ciebie, Stachu, pogadać o dawnych czasach i dawną przyjaźń odnowić. Wszak byliśmy kolegami i przyjaciołmi, a takich wspomnień, jak nasze, życie nie zaciera.

Tymczasem zniknęło z twarzy Bielusza chwilowe pomieszanie, czy rozrzewnienie. Skrzywił się dziwacznie i odrzekł wstając:

stosunek 5.8:1. Mniej korzystniej dla kobiet przedstawia się ten stosunek w wielkich miastach, gdzie częstokroć obie płcie zarówno są do ciężkiej pracy zmuszone. W Berlinie np. jedna samobójczyni przypada na 2.8 samobójców. Trudnemi warunkami życia należy również tłumaczyć fakt, że wśród mężczyzn żonaci podlegają częściej samobójstwu, niż kawalerowie i wdowcy. Charakterystycznem jest jednak, że u kobiet panuje pod tym względem stosunek odwrotny. Wśród panien samobójstwo zdarza się nawet częściej, niż wśród kawalerów; więcej również wdów, niż wdowców, kończy w ten sposób życie.

Wiek odgrywa ważną rolę w kwestyi samobójstwa. Do lat 15 wypadki dobrowolnej śmierci bywają stosunkowo rzadkie i stanowią zaledwie nieco więcej, niż 1% ogólnej ich sumy, przyczem dziewczęta okazują w tym okresie większą skłonność do odbierania sobie życia, niż chłopcy. Na 100 chłopców przypada 110 dziewczyn. Na uwagę zasługują tutaj wypadki samobójstw wśród uczącej się młodzieży. Według obliczeń prof. Guttstadta, w ciągu pięciolecia od roku 1883 do 1888, pozbawiło się życia w jednych Niemczech nie mniej, jak 289 uczniów, z czego 80 przypada na szkoły niższe, a 209 na wyższe. W następnym okresie życia, tj. między 15 a 25 rokiem cyfry samobójstw rosną, zwłaszcza u kobiet, u których obejmują one w tym wieku do 24% ogólnej liczby wypadków. Łatwo zrozumieć ten wzrost, jeżeli uprzytomnimy sobie, jak wielka liczba osobników płci żeńskiej staje się w tym wieku ofiarą zawiedzionych nadziei, wstydu, obaw przed widmem staropanieństwa itp. czynników. Kulminacyjnego punktu dosięga samobójstwo u mężczyzn w 50-tym roku, podczas gdy u kobiet, stających wcześniej na progu starości, następuje on już w 40-tu latach. W późniejszym wieku samobójstwa stają się znów rzadszemi, przyczem pobudki ich szlachetnieją, graniczące często z poświęceniem i altruizmem.

Dokładne badania zawodu samobójców natrafiają wogóle na trudności poważne, w zebranym jednak materyale faktycznym bijąco rzuca się w oczy nadzwyczaj liczny udział w tem przestępstwie klasy wszelkiego rodzaju służących. Na 10,000 osobników tego zawodu przypada 45 wypadków samobójczych, — to znaczy, że z 223 służących jeden odbiera sobie życie.

Jestto przerażająca obfitość, a wyda nam się jeszcze jaskrawszą, jeżeli porównamy ją z odpowiedniemi cyframi w innych zawodach, gdzie zwykle na 10,000 osób przypada nie więcej nad 4 lub 5 samobójstw.

O wiele częściej, niż w stanie cywilnym, zdarzają się samobójstwa w wojsku. Porównanie ogólne mówi nam, że w armiach poszczególnych państw, mianowicie Niemiec, Austryi, i Włoch, wypadki samobójcze bywają 8 do 9 razy częstsze, niż pośród ludności cywilnej. Najgorzej stosunek ten przedstawia się w armii austryackiej, gdzie na 700,000 osób przypada 112 samobójstwa i prawie $^1/_5$ wszystkich wypadków śmierci zaliczaną bywa do tej kategoryi.

Niezależnie od wskazanych wyżej ogólnych przyczyn samobójstwa, poświęcimy słów parę wyszczególnieniu motywów osobistych, tj. tych najczęstszych pobudek zewnętrznych, które w ostatniej chwili wywołują samą katastrofę. Pójmując wypadki, popełnione przez zdecydowanych szaleńców, które wynosić mają 30% ogólnej symy, przedewszystkiem zwraca na siebie uwagę często bardzo powtarzający się motyw w postaci przesytu życiem, *taedium vitae*. Powoduje on, według obliczeń Dr. Rehfisch'a, nie mniej, jak 10% wszystkich wydatków — z tego wypada, że 5.000 osób corocznie odbiera sobie życie — z nudów! Wspominaliśmy już o fatalnym wpływie na samobójstwo nadużyć trunkowych. Bär w słynnem swem dziele, „Alkoholizm“, wykazuje, że 12% wypadków samobójczych przypisać należy temu strasznemu nałogowi, znakomity zaś statystyk David procent ten dla Danii podnosi nawet do 17.5. Dużą rolę odgrywają tu także choroby i dolegliwości fizyczne, rozpacz z powodu materyalnej ruiny, wstyd, wreszcie i obawa przed karą, o czem przekonać się możemy z następującej tabliczki, ułożonej dla Prus i Saksonii na zasadzie 60.000 popełnionych tam samobójstw. W tej liczbie zakończyło życie:

	Prusy	Saksonia
Skutkiem przesytu	9.6%	9.3%
„ chorób umysłow.	27.	35.5
„ dolegliwości fizycznych	8.7	7.1
„ namiętności	3.1	2.6
„ państwa i gry	.10	8.7
„ żalu	0.4	—
„ utraty miejsca i ruiny materyalnej	11.9	9.1
„ wstydu i obawy przed karą	8.2	7.4
„ sprzeczek i kłótni	2.6	3.1
„ nieznanych powodów	18.5	17.2
	100%	100%

W sposobach pozbawiania się życia różnorodność panuje wielka. Ten lub inny rodzaj śmierci zależy często od pory roku, zawodu samobójcy, różnych miejscowych warunków etc. Nie wdając się jednak w szczegóły, skonstatujemy tylko znany fakt, że mężczyźni pozbawiają się życia najczęściej przez powieszenie, kobiety zaś przez utopienie. Do najrzadszych rodzajów samobójstwa należy rzucenie się pod pociąg, lub z wysokości, jeżeli nie weźmiemy w rachubę pojedyńczych ekscentrycznych wypadków.

Na tem przerwiemy tę smutną fizyologię samobójstwa. Zło szerzy się w oczach naszych z całą potęgą, straszna rana społeczna jątrzy się i ogni stale, a wszystkie wysiłki, podejmowane w celu jej zagojenia, pozostają dotychczas bezskutecznemi.

Cywilizowana ludzkość, zwyciężająca nawet nie dostrzegalne okiem drobnoustroje, które ją niszczą fizycznie, nie jest w stanie pokonać raka, toczącego skrycie wnętrze jej organizmu.

Czy pozostanie tak zawsze? Czy zło w dalszym ciągu szerzyć się będzie bezkarnie, porywając corocznie z łona społeczeństwa dziesiątki tysięcy ofiar? Czyż na tę straszną chorobę żadnego niema lekarstwa? Nie sądzimy. Owszem, skłonni jesteśmy do przypuszczenia, że przy gruntownej zwłaszcza reformie wychowania w najogólniejszem tego słowa znaczeniu, wysoki dziś procent wypadków samobójczych znakomicie zmniejszyć się może. Dziś z nerwowości wyłania się melancholia, a jej dziecięciem. samobójstwo, dziś wychowanie prowadzi do niemocy, a niemoc do samobójstwa. W przyszłości bezwątpienia wpływ tych czynników w znacznym stopniu ograniczonym zostanie. Nie

---

— Przepraszam nie zrozumiałem dobrze. Jakto: „życie nie zaciera?“ Lubię ścisłość w wyrażeniach. W pańskiem była metafora.

— Ależ. mój drogi, cóż się stało z tobą? Toż zdziwaczałeś kompletnie! Czyż tak przyjmujesz starego kolegę, którego dawniej kochałeś? Może gniewasz się na mnie? To powiedz, za co, abym się usprawiedliwił.

Bielusz poruszył się niecierpliwie.

— Przepraszam — rzekł — za dużo naraz spraw, o wszystkiem bezładnie mówić nie lubię. Nie mam czasu do stracenia ani chwili. — I dodał kłaniając się:

— Przyjemnie mi było zobaczyć się, ale muszę już iść do spełniania codziennych obowiązków.

Odszedł do sąsiedniego pokoju. Charski zerwał się i rzekł półgłosem:

— Czekaj bratku, tyś dziwak, ale kosa trafiła na kamień. Jeszcześmy nie skończyli z sobą. Muszę cię wyleczyć, jakiem Charski.

Wyszedł. Ale po paru godzinach w mieszkaniu Bielusza rozgrywała się scena niebywała. Cała kamienica była zdziwioną i tylko o tem rozmawiała, co się u Bielusza dzieje. Wieść wkrótce rozeszła się po miasteczku, młodzież szkolna nawet zaczęła się zbierać i ciekawie patrzeć w górę na rzęsiście oświetlone okna drugiego piętra. Gdy służąca Bielusza zbiegła na dół po jakiś sprawunek, obskoczyły ją sąsiadki, stróżki, służące ze wszystkich stron, wypytując o nowiny.

— Sądny dzień, co się u nas dzieje! — wołała, załamując ręce. — Jakiś pan przyjechał do mojego pana z lokajami, poprzynosili tłumoków, pozapalali świece, jak na wesele, ze sklepów różnych różności poznosili, stół nakryli, butelek nastawiali, jak w Sodomie i Gomorze. Z moim panem jak zaczął ten pan się kłócić, to strach! Aż mój pan, Małgorzato, mówi, idź po żandarmów! A ja idę, a ten pan, ten niby, co przyjechał, biegnie za mną i mówi: Ani się waż! i daje mi guldena. Widzicie, całuśkiego guldena! I ja nie poszła. A potem patrzę przez szparę, a oni obaj się całują, jak Boga kocham, całują się, a mój pan płacze. Powiadam wam, łzy mu tak, jak groch, ciurkiem po twarzy biegły. Jeszczem jak żyję, takiego dziwu nie widziała.

Tymczasem w mieszkaniu Bielusza, istotnie, zaszły niebywałe zmiany. Na biurku profesora od 15 lat nie było takiego, jak teraz, nieładu: książki pobratały się z butelkami i atrament z piaskiem. Zwykle Małgorzata dostawała surową naganę za posunięcie najmniejszej rzeczy. Bielusz z Charskim siedzieli teraz przy stole i po sutej kolacyi, raczyli się szampanem. Pieniący się napój wytrysnął rumieńcem na bladej zwykle twarzy zaśniedziałego filologa i promieniem w szklannych jego oczach.

Z gorączką, któraby nie mało zdziwiła wszystkich jego kolegów i uczniów, przywykłych do pedanteryi w ruchach i słowach, wołał Bielusz:

— Proszę, nie mów o tem. Myślisz, że dla ciebie przysłałem pieniądze? Wcale nie! Zrobiłem to dla własnej przyjemności, bo mi się tak podobało. Nigdy i dla niczyjej przyjemności nic nie robię. To moja zasada.

— Dla czego? Czy myślisz, że nie warto ludziom dobrze robić?

— Dobrze? Co to znaczy dobrze? Inaczej w pojęciu dobra mówi Sokrates w Protagorasie, a raczej Plato, inaczej Cicero w dziele „*De finibus bonorum et malorum*“, a inaczej dziś pojmują je rozmaici ludzie. Dałem przy ostatniej klasyfikacyi w piątej klasie 25 not niedostatecznych z języka łacińskiego i powiedziałem sobie: Dobrzem zrobił, bo nicponie nie umieli gramatyki. Uczniowie myśleli jednak widocznie, żem źle zrobił, bo mi szyby wybili, a inspektor był zdania uczniów, bo mi przysłał napomnienie, abym łagodniej klasyfikował. W ósmej klasie czytaliśmy ody Horacego. Ślęczę po nocach, ażeby je jak najszczegółowiej wyjaśnić, poprawiam zepsuty tekst, przytaczam *scholia*, daję komentarz gramatyczny i realny — i cóż się dzieje? Dyrektor hospituje i chwali na konferencyi, że dobrze uczę. Przyjeżdża radzca i gani, że źle uczę, bo mało się czyta; przyjeżdża prezydent i mówi, że dobrze uczę, bo trzymam się zasady: *non multa, sed multum;* ojcowie przychodzą do mnie i skarżą

wierzymy jednak, aby z liczby klęsk, trapiących ludzkość, samobójstwo kiedykolwiek zupełnie wykreślić się dało. Nawet w najidealniejszym ustroju społecznym znaleźć się musi pewna liczba nieszczęśliwych, rozczarowanych, niezadowolonych i cierpiących jednostek, które poza grobem zapragną szukać ukojenia i spokoju. Nigdy również nie zabraknie osobników, przekładających nicość nad walkę życiową i szukających tej nicości w pozagrobowej nirwanie.

Władysław Bukowiński.

Listy z Berlina.

Berlin, 12 lutego.

(Drugi projekt kodeksu cywilnego. Historya kodeksu. Jego charakter reakcyjny. Protest kobiet.)

Profesorowie i Geheimraci, którzy od roku 1887 przysiadywali fałdy nad drugim projektem kodeksu cywilnego dla niemieckiego państwa, ogłosili wreszcie swe dzieło, świadczące, iż twórcy jego mało zapomnieli, a jeszcze mniej się nauczyli w przeciągu ostatnich 7 lat. Nowy kodeks jest jakimś dziwolągiem a raczej *mixtum compositum*, składającym się z pierwiastków pruskiego biurokratyzmu i kapitalizmu; dla tego też nie mógł zadowolić nikogo. Prawica zapewnia, iż kodeks obfituje w zasady „czerwone“, forytuje ruchomy kapitał i giełdę: lewica przysięga, iż drugi projekt kodeksu jest na wskroś reakcyjnym, iż twórcy jego byli głusi i ślepi (zresztą nie należy tego rozumieć w przenośni, gdyż jeden z kodyfikatorów jest faktycznie głuchym, a drugi ślepym) na wszystkie zmiany, które spowodowało nowoczesne życie; centrum zarzuca, iż kodeks hołduje wolnomularskiej ewangelii, protegując rozwód i ślub cywilny; wolnomyślni dowodzą, iż kodeks jest dziełem wsteczników najczystszej wody. Co najzabawniejsze wszyscy mają racyę! Twórcy kodeksu, jako ludzie prawomyślni, z jednej strony chcieli pozostać wiernymi tradycyi i literze poprzedniego prawodawstwa, a raczej poprzednich prawodawstw, z drugiej zaś strony pociągnęli swój utwór pokostem nowoczesności, by nie ściągnąć na siebie niechęci mas. Pouczającą jest historya kodeksu. Było to w roku 1871. W młodym Reichstagu wodzili rej narodowi liberałowie, ci sami, co ofiarowali Wilhelmowi koronę cesarską i zaprzysięgli dozgonną przyjaźń Bismarckowi, uważając, iż przyjaźń potężnego kanclerza jest rzeczą użyteczną dla wielkich handlarzy i fabrykantów. Ostrożni prowodyrowie partyi sypali oczywiście w oczy swemu społeczeństwu piasek frazeologiczny, powołując się na różne buńczuczne hasła. Oni to właśnie postawili pierwszy projekt kodyfikacyi prawa niemieckiego i nakreslili zasady, w których duchu kodeks ma być ułożonym. Zasady te był wodniste, jakkolwiek przedewszystkiem uwzględniały dobro królików kapitału i giełdy. Niższe warstwy prowadzone były wówczas jeszcze na pasku dwuznacznych obietnic i ogólnikowych tyrad, zresztą same państwo niemieckie było jeszcze młodem. Handel i przemysł posłuszny dewizie „enrichissez vous“ przystępowały dopiero do gromadzania bogactw, przyrzekając i masom złote góry. W 1874 roku wreszcie rada związkowa wyznaczyła komisyę dla ułożenia kodeksu. Wielkiem nieszczęściem było dla komisyi, iż pracowała w okresie, kiedy Niemcy przechodziły wielkie przewroty na wszystkich polach życia społecznego. Jeden z krytyków Heraklitesa zauważył, iż nietylko „dwa razy nie można wstawiać nogi *do tej samej* rzeki“, lecz nie sposób to uczynić nawet jeden raz, gdyż podczas samego pogrążania nogi w wodę, rzeka zmienia swe składowe części. Kodyfikatorzy zapomnieli, iż w chwili, gdy przenosili na papier prawne pojęcia niemieckiego narodu, gdy je systematyzowali i porządkowali, — w chwili, gdy idąc za radą Savigniego fotografowali „duszę narodu“, sam prawny światopogląd społeczeństwa ulegał rdzennym przemianom. Przez 13 lat pracowała komisya w swych gabinetach odosobniona chińskim murem naukowego filisterstwa od świata, życia i ruchu. Ani razu nie zwracała się do publiczności i ludzi kompetentnych po radę. Publiczność uważała nawet samą kodyfikacyą za legendę. Co rok, gdy omawiano budżet ministerstwa sprawiedliwości, ciekawi dopytywali się o los kodeksu, a przedstawiciel rządu z niezmąconym spokojem objaśniał, iż komisya pracuje z wielkim pospiechem i robi zadziwiające postępy. W 1887 roku nareszcie pierwszy projekt ujrzał światło dzienne. Zaledwie ministeryum sprawiedliwości zwróciło się do publiczności, prosząc o memoryały, krytyki i wskazówki, gdy ze wszystkich stron posypały się strzały krytyki, które go poszarpały na cząstki. Tysiące książek, ulotnych broszurek i artykułów oświecały, kodeks ze wszystkich możliwych punktów widzenia i udowodniły, że projekt nie odpowiada najskromniejszym wymaganiom. Samo pojęcie prawa i kodyfikacyi uległo przemianie. Wpierw powtarzano za Savigny'm, ojcem historycznej szkoły, iż kodyfikacya jest odzwierciedleniem prawnej świadomości narodu, że czerpie materyał z duszy narodu nic dając nic od siebie. Teraz natomiast dawano posłuch teoryi Iheringa, który w prawie nie upatrywał produktu narodu, lecz tych grup społecznych, które w walce wszystkich przeciwko wszystkim odniosły zwycięstwo. Prawo zdobywa się i formuje w walce. Okrzyk „vae victis“ poprzedza wszelką kodyfikacyę, na której wyciska swe piętno klasa panująca. Ta pod parciem konieczności robi ustępstwa i w ten sposób skrystalizowana forma prawa zmienia ciągle swą postać. Gdy zaś w 1887 r. kodeks został oddanym pod sąd społeczeństwa, inne prądy nurtowały niemieckie społeczeństwo niż za czasów poprzedzających narodzenie się kodeksu. Lud, a wraz z nim oświecona inteligencya domagały się reform na polu społecznem. Wszystkie partye kokietowały lud i powoływały się w swych żądaniach na dobro „maluczkich“. Wszystkie instytucye musiały uchylić czoła przed duchem demokratyzacyi. Nic dziwnego, iż kodeks z tego właśnie punktu widzenia nie mógł wytrzymać najpobłażliwszej krytyki. Tembardziej, gdy przystąpił do niego ze skalpelem analizy umysł na wskroś nowoczesny, profesor Antoni Menger, uzbrojony w najnowsze zdobycze nauki prawa, świat naukowy musiał się również przekonać, iż kodeks nie stoi na wysokości czasu.

W 1888 roku nowa komisya, do której przyłączono kilku prywatnych doradców,

---

się, że za wiele wymagam, więc źle uczę: mnie się zdaje, że dobrze uczę, jak umiem i mogę, a uczniom się zdaje, że źle uczę, bo im nie pobłażam.

— *Mediam tenebant beati* — nieśmiało rzekł Charski.

Bielusz aż za głowę się porwał.

— *Tenebant?!* Siadaj! Przepraszam. Nie *tenebant*, przecież nie *tenebant!* Zkądże mogłoby być *tenebant?* Wyraźnie przecież czytamy w tekście *tenuere*. Zaraz przyniosę książkę.

Odszedł od biurka, zarzuconego książkami, i począł szukać, mrucząc i zżymając się:

— *Tenebant*, zkąd *tenebant?* Dla czego mu *tenebant* strzeliło do głowy?

Napróżno Charski zgadzał się na *tenuere*. Bielusz, na podstawie trzech wydań i dwóch komentarzów, udowodnił mu prawdziwe brzmienie tekstu, obiecując nadto napisać do uczonych w Rzymie, ażeby z kodeksu watykańskiego jeszcze raz to brzmienie stwierdzili.

Rozmowę z trudem udało się Charskiemu sprowadzić na inne tory. Dowiedział się Charski, że przyjaciel jego przez lat kilkanaście utrzymywał matkę i dwie siostry; matka zmarła niezbyt dawno, jedna z sióstr, chora na suchoty i zgryźliwa, zmarła przed rokiem, druga, także chorowita, nie mogąc, z powodu braku urody i posagu, doczekać się zamążpójścia, którego niezmiernie pragnęła, poszła parę miesięcy temu na własny chleb, na telegrafistkę, łudząc się nadzieją, że na tem stanowisku da się łatwiej poznać ludziom i zawrze upragniony związek małżeński.

— Bogu wiadomo — mówił — ilem się z temi kobietami nacierpiał. Białogłowy, jak zwykle, płoche i gadatliwe, chciały się ustroić i ludziom pokazać, a tu nie było za co. Miały mi zawsze za złe, żem więcej nie zarabiał i podejrzywały, że potajemnie składam pieniądze.

— Dawno masz stałą posadę?

— Od lat czterech. Przedtem, jako zastępca, pobierałem 600 zł. Na guwernerce uskładany grosz rozszedł się prędko, na wydatki w czasie choroby siostry musiałem długi pozaciągać, których dotąd nie spłaciłem. Po śmierci jej byłem do naga obdarty, bez łóżka, stołu i bielizny, bez książek nawet, które poszły między żydów, Ale w moim zawodzie to potrzebne i konieczne. My, nauczyciele, powinniśmy z siebie dawać innym przykład poprzestawania na małem.

Tak powoli ożywiał się Bielusz i począł coraz szczegółowiej spowiadać się z dziejów swego życia. Skrytość i szorstkość nie były wcale wrodzonemi cechami jego charakteru, przeciwnie, na dnie duszy drzemała dawna, długo tłumiona tkliwość i otwartość; teraz, pod wpływem wina, dawnych wspomnień i serdeczności przyjaciela, topniały powoli zlodowaciałe uczucia, coraz szczerzej wyrażając się na twarzy i w opowiadaniu.

Charski, to pytaniem zręcznem, to rzewnem wspomnieniem, to okazanem współczuciem starał się drogę torować tym zwierzeniom. Siedzieli i rozmawiali do późnej nocy.

Smutne to były dzieje. Po trzechletniej guwernerce, wrócił Bielusz do miasta, dla kończenia studyów uniwersyteckich. Poświęcił się filologii z zapałem, z wiarą w potęgę poezyi klasycznej, pragnąc, na podstawie gruntownego jej zgłębienia, oprzeć przyszłą swą działalność społeczną. Roił i marzył o walce z materyalizmem nowszych czasów.

Więc ślęczał nad lirykami i tragikami greckimi, szczególnie nad Pindarem i Sofoklesem; badał filozofów, szczególnie zasmakowawszy w Platonie.

Niestety, gorzka i nieubłagana potrzeba bytu materyalnego zbyt wcześnie stawiła się do walki z idealizmem marzyciela. Śmiertelny wróg, z którym zamierzał wojnę toczyć, nie czekał na niego, pierwszy ją zaczął. Dla utrzymania rodziny, musiał obarczyć się lekcyami prywatnemi i wcześnie rozpocząć niewdzięczny zawód pedagoga dla chleba. Cały dzień, jak bydlę robocze, bez tchu biegał po cudzych domach, gdzie uczył po stokroć oklepanych rzeczy uczniów z natury gnuśnych, lub rozleniwionych, gdyż inni zazwyczaj lekcyi nie potrzebują.

(Dokończenie nastąpi).

zdaje się więcej dla formy, rozpoczęła robotę powtórnie. Przed kilkoma tygodniami kodeks został przedłożonym parlamentowi, lecz gdy rozejrzano się nieco w treści drugiego projektu, zawyrokowano, że i ta edycya mądrości prawników niemieckich jest dziełem chybionem. Najbardziej są niezadowolone klasy pracujące i kobiety. Pomijając, iż projekt stoi na gruncie prywatnej własności w najreakcyjniejszem tego słowa znaczeniu, zawiesza on nad prawem koalicyi policyjny miecz Damoklesa, robiąc wyjątek dla stowarzyszeń oficerskich, burszenszaftów i t. p. związków. W kwestyi najmu pracy stoi bezwarunkowo po stronie chlebodawcy. Najsłuszniejszemi są zarzuty kobiet. Kwestya kobieca, jakby zupełnie nie istniała dla kodeksu. Kodyfikatorzy zapomnieli, iż współczesna kobieta nie jest li tylko lalką salonową lub niewolnicą, przyjętą dla gotowania obiadów, cerowania pończoch i innych tego rodzaju pięknych a świętych obowiązków rodzinnych. Obecna rodzina nie posiada jednej głowy lecz dwie. Kobieta na równi z mężczyzną nosi ciężar wytwarzania dóbr materyalnych dla rodziny. Na polu ekonomicznem występuje ona tak samo czynnie jak mężczyzna. W bardzo wielu wypadkach utrzymuje nietylko rodzinę lecz i męża. Jednem słowem kodeks powinien był patrzeć na kobietę pod kątem widzenia jej dążeń do niezależności. Wszelki inny pogląd na współczesną kobietę jest niesłusznym, gdyż nie zgadza się z istotą ewolucyi.

Teraz zaś zachodzi pytanie, dlaczego żona dzieląca z mężem obowiązki, ma posiadać w rodzinie i społeczeństwie mniejsze prawa? Niesłusznie oddaje kodeks małżonkę pod opiekę męża i pod tym pretekstem obdziera ją z różnych praw, przysługujących mężowi. Bezprawiem jest, jeżeli ojciec ma większą władzę nad dziećmi niż matki. Krzywdę wyrządza projekt kobiecie, każąc jej wystarać się o pozwolenie męża dla zarządzania swym majątkiem, podczas gdy mąż rozporządza samowolnie majątkiem żony. Nonsensem jest, jeżeli żona po zawarciu powtórnego związku małżeńskiego traci władzę nad dziećmi, podczas gdy ograniczenie to nie zostało rozciągniętem na męża. Za szczyt niesprawiedliwości należy uważać, gdy nielegalne dziecko ma obciążać jedynie matkę a nie ojca. Wszak to znaczy popierać nienawidzoną przez ludzi prawomyślnych wolną miłość. Rozumie się, kobiety wszelkich obozów i kierunków zaprotestowały przeciwko kodeksowi, twierdząc, iż jest zniewagą wymierzoną kobiecej połowie niemieckiej ludności. Przy tej okazyi postawiono różne żądania, które przedstawiają całą skalę stopniowań. Najdalej idzie związek obrony praw kobiecych, założony w Dreźnie. Dwie panie ogłosiły paragrafy kodeksu, krzywdzące kobietę, przeciwstawiając im przeróbkę bardziej zgodną z duchem nowoczesnym. Niektóre stawiają za wzór Amerykę i żądają, by prawo familijne ugruntowano na zasadach zupełnego równouprawnienia, mniej więcej w formie, jak to zalecał w swoim czasie wielki John Stuart Mill, który żądał, by rodzina była rzeczpospolitą a nie monarchią, by była połączeniem dwu istot niezależnych, związanych jedynie sympatyą. Z jakiej racyi kodeks nie dopuszcza rozwodu w razie, jeżeli jeden z małżonków żywi dla drugiego nieprzeparty wstręt, lub jeżeli oboje zgadzają się na rozwód. Idylla rodzinna nie zyskuje nic, jeżeli małżeństwo staje się jarzmem, do którego się wprzągą dwie osoby zupełnie sobie obojętne. Wreszcie niektóre niewiasty żądają, by małżeństwo nie prowadziło koniecznie do zlania dwu nazwisk w jedno. Współczesna kobieta tak już przesiąkła indywidualizmem, że nie potrafi za rzymianką powtórzyć podczas obrzędu ślubnego: „Ubi Gaius, ibi Gaia“. Nazwisko jest symbolem do indywidualności. Kobieta wychodząc za mąż powina mieć prawo zachować jeżeli chce jedno i drugie.

M.

To i owo.

Z blizka i z daleka.

Pod adresem dziennikarzy poznańskich. Warszawski „Przegląd tygodniowy“ pisze:

. . . .

„Dziennikarze poznańscy zrobiliby prawdziwą przysługę wszystkim piszącym, gdyby wypracowali jakiś zbiorowy rodzaj słownika tych wszystkich nazw wsi, osad i miast, które, gwoli dogodzenia uchu germańskiemu, utraciły stare słowiańskie nazwiska, przekształcając dawne *ice* na *itz*, *ów owo*, na *au* itp. Trudno, ażebyśmy wszyscy mogli wiedzieć, że Argenau to Gniewkowo, Schwarzenau — Czerniejewo. To już nie nieznajomość geografii własnego kraju, lecz wprost niemożliwość zoryentowania się w zapędach junkrowskich. Jeżeli Sienkiewiczowi wolno pisać Oderberg zamiast Bogumin, jeżeli Prus w ostatnich swoich „Kartkach z podróży“ w miejsce Kistrzyna pisze Küstrin (!), jeżeli zna Landsberg itp. — to czyż się dziwić, że zwykli sprawozdawcy popełniają setki grubo rażących błędów. Brać za złe można, że tak wielcy pisarze, przebiegając kraj, nie postarali się nawet o sprawdzenie nazwiska tej lub owej miejscowości, ale na szaraczków dziennikarskich gniewać się nie sposób. Zresztą i lud miejscowy sam często wprowadza w błąd pytającego, jak to zdarzyło się nam na przystanku kolejowym zwanym „Amsee“. Chłop, zapytany, odpowiedział, że wieś nazywa się „Jamża“, gdy tymczasem po bliższem sprawdzeniu okazało się, że to „Janikowo“, przerobione na Amsee, tak niedźwięczne dla wieśniaczego ucha, iż ten przerobił je po raz drugi na brzmiącą swojsko „Jamżę!“ Wypadek to niepierwszy, że stara nazwa gdzieś utonęła, dość sobie uprzytomnić owe „Zamarstynowy“ (Sommersteinhof,) Łańcuty (Landshut) w Galicyi...“

* * *

Antimasonizm. Czytelnicy wielu krajów Europy, a między innemi i naszego, spotykając w gazetach, odbijających echa watykańskie, ciągłe gromy na wolno-mularzów, nieraz zapewne pytają: co to wszystko znaczy? Bo gdyby wierzyć tym źródłom, należałoby przypuszczać, że świat byłby spokojny, a jego losy zabezpieczone, gdyby nie masoni, którzy go jak krety ryją we wszystkich kierunkach, z wierzchu niedostrzegalni, ale w głębi ciągle czynni. Do licha — myśli i mówi niejeden — gdzież ci masoni są, kiedy nikt z nas ich nie widzi i o nich zbliżka nie słyszy? Otóż winniśmy wyjaśnić, że oni rzeczywiście istnieją w Europie i w Ameryce, ale opowieści o ich potędze, szerokich działaniach i wpływach są starą bajką, powtarzaną przez baby dziennikarskie, chętnie przyczepiające myśl do nadzwyczajności. Korespondent włoski „Słowa“ tak opisuje nawrócenie się masonki, Joanny Vaughan, według jej dziennika. Razu pewnego przysięgła ona przed statuetką Joanny d'Arc, że wyrzecze się bluźnierstw religijnych:

„Zaledwie jednak wyrzekła była te słowa, gdy jakaś siła niewidoma pchnęła ją tak gwałtownie w tył, że uderzyła głową o ziemię i w chwili, kiedy miała się podnosić, ujrzała przed sobą Belzebuba, Astarotha, Molocha i dobrze znanego jej Asmodea. I tym razem, jak zawsze dotąd, ukazywali się jej pod postacią aniołów światłości, twarze ich jednak, tak zawsze miłe i słodkie, pałały niepohamowanym gniewem. Przerażenie ogarnęło ją, a spotęgowało się jeszcze, gdy zobaczyła, że chcą rzucić się na nią, by bić ją, czy może udusić. Przeczuwając straszne, grożące jej niebezpieczeństwa, zawołała wtedy: Joanno! Joanno! ratuj mnie! Ryk straszny, rozpaczy i wściekłości, wydany przez wszystkich czterech naraz, odpowiedział na tę inwokacyę; zarazem jednak twarze i postacie szatanów przemieniły się i po raz pierwszy ukazali się jej w całej swej ohydnej, monstrualnej szpetności. Rozpoznawała i w tej przemianie właściwe rysy ich twarzy, ale twarze te, nad wyraz brzydkie i potworne, wyrażały teraz przestrach nie do opisania, gniew i rozpacz bezdenną. Po kilku sekundach, wyjąc przeraźliwie i przeklinając ją, zniknęli... na zawsze“.

Co? Czy nie ładne?

* * *

Brak konsekwencyi. Czytelnicy „Kraju“, po przeczytaniu Nr. 1 z r. b., dotychczas nie mogą się połapać, gdzie w tym numerze redakcya „Kraju“ jest sobą. Czy w artykule wstępnym, gdzie p. L. Gr., mówiąc o „odpływającej fali“, zapowiada nadejście chwili, gdy zostaną „wynalezione (!) sposoby“, „jak można żyć obok siebie w spokoju, nie pożerając się i nie złorzecząc sobie nawzajem...“ albowiem: „zdaje się, jak gdyby ludzkość miała już dość kanibalskiego apostolstwa, dość propagandy, narodowego egoizmu“ i t. d. „Bo czem są np. protesty w Niemczech przeciwko uroczystościom sedańskim, jeśli nie protestami przeciwko propagandzie międzynarodowego (?) szowinizmu? Czem są powszechne usiłowania zabezpieczenia pokoju, jeżeli nie obawą odpowiedzialności przed ludzkością za ponowne rozkiełznanie antyhumanitarnych namiętności?....“

Czy też była sobą w korespondencyi z Berlina, której autor mówi, co następuje: „Dla postępowców, pozbawionych przesądów, przedstawiają ostatnie miesiące bardzo ciekawe widowisko, okazujące, jak niespożytą, żywiołową siłę mają instynkta narodowościowe. Rozum ludzki jest wobec nich bezsilny, a to samo wystarcza za odpowiedź tym wszystkim, którzy w swoich tendencyach niwelacyjnych chcą ignorować uczucia narodowościowe....“

Trzeba przyznać, że stanowisko „Kraju“ w tej materyi nie jest *jasne*.

* * *

Testament samobójcy. Przed niedawnym czasem wywarło niezwykłe wrażenie na lwowskim bruku samobójstwo dr. Teodora Jendla, znanego lekarza, filantropa i publicysty. Nad przyczynami tragicznej śmierci łamano sobie długo głowę, przypisując ją nieuleczalnej chorobie, chwilowemu obłędowi, zawodom sercowym itp. Odmienne światło na przyczyny samobójstwa rzuca dokument „ostatniej woli“ dr. Jendla, publikowany w lwowskim „Monitorze“, a zawierający interesujący przyczynek do studyów z dziedziny psychologicznej. Testament nieszczęśliwego samobójcy brzmi:

„Od przeszło pół roku postanowiłem umrzeć, a chwila, kiedy się wyniosę z tego świata, zależna czysto od przypadku — od większego lub mniejszego zdenerwowania. Jeśli to na wstępie napisałem, że przed półrokiem powziąłem to postanowienie, to dla tego, by nie gadano, jak zwykle, że odebrałem sobie życie w chwilowym obłędzie, by nie myślano, że jakiekolwiek zewnętrzne okoliczności postanowienie to wywołały. Przeciwnie, śmierć, którą sobie zadam, jest rezultatem spokojnej i długiej refleksyi, której wynikiem: są na świecie istoty niezdolne do

życia a z ich liczby jestem ja. Brak odporności w walce o byt — obarczenie dziedziczne w kierunku psychicznych zboczeń — wreszcie brak wszelkiej produktywności — oto cechy mego charakteru. Ludzie tak zbudowani, albo upadają moralnie bardzo nisko, albo niedołężnieją zupełnie, stając się ciężarem sobie i drugim — ani jednego, ani wtórego nie chcę. Wziąłem od natury bardzo wiele, bo niby te pewne błyskotliwe zdolności, które mnie i ludziom długo oczy mydliły. — Wziąłem wychowanie a nareszcie to, co nazywają dobrem sercem i osobistą uczciwością. Te ostatnie rzeczy ochroniły mię od tego, że niestałem się wprost dla drugich szkodliwym, że nie umiejąc tych niby zdolności na dobre wyzyskać, nie wyzyskałem ich na złe. Przeciwnie, za każde dobro doświadczone od ludzi, byłem szczerze wdzięczny i starałem się to słowem i czynem okazać. Kobietom i przyjaciołom rzucałem serce i duszę pełnemi garściami, może dla tego pod koniec dla mnie ich zabrakło, może dla tego nic po mnie nie zostanie..., że rozrzuciłem w drobnej monecie wszelki duchowy kapitał. Znów tylko moja wina. Raz siostra mója powiedziała mi: zawsze więcej dajesz, jak bierzesz — może to i prawda. Nie żałuję tego jednak, raczej żałuję, żem więcej nie miał do rozdania. Wszak dawałem z egoizmu, bo mi to radość sprawiało. Teraz, kiedy wracam myślą w młode lata, które inaczej — powiem śmiało, piękniej od większej części rówieśników przeżyłem, w krainie szlachetnych snów, dziecinnych zrywań się do czynu, wzniosłych ideałów, które wypełniały cały świat myśli, a następnie spojrzę na teraźniejsze, jakaż przepaść wielka dzieli te dwie epoki życia. Dziś ani sił ani możności do postępowania, jak się kiedyś marzyło — ani nawet wiary w to, co się czciło i kochało: przedemną pustka i we mnie pustka, jestem lichym manekinem człowieka. Skończywszy romanse, proszę długi popłacić z mych rzeczy, które proszę sprzedać. Oryginał Grottgera jest u mnie w domu. Piszę, bo to warte przeszło 1000 fl., tj. prawie tyle, co me długi. Wszystko co mam wraz z możliwemi i niemożliwemi sperandami zapisuję mej siostrze Maryi z Jendlów Łuszczkiewiczowej, prosząc, by na razie co komu należy, za mnie zapłaciła. Dr. Teodor Jendel mp."

* * *

Oj literaci! Pod tytułem „Przytaczanie niemieckich zdań i wyrazów w polskich pismach" zamieszcza „*Lech, gazeta gnieźnieńska*" następującą uwagę, nie wystawiającą zbyt pochlebnego świadectwa literackim kwalifikacyom redakcyi:

„Często czytamy: „Es ist faul im dänischen Staate" (czuć zgniliznę w duńskim państwie), chociaż tragedya Szekspira „Hamlet", w którym owo zdanie zachodzi, pisana jest w języku angielskim. Niedawno jedno z pism poznańskich wydrukowało: „Nawet Ben Akiba wykrzyknąłby: „Noch nicht dagewesen" Możemy zapewnić, że Ben Akiba, sławny rabin żydowski, żyjący około 100 r. po Chr. w Palestynie, nie znał języka niemieckiego, zatem nie można wkładać w jego usta zdań niemieckich".

Redaktorzy „Lecha" nie wiedzą widocznie, że wyrazy: „Alles ist schon dagewesen" wypowiada Ben Akiba w niemieckim dramacie Gutzkowa „Uriel Acosta". O tem, by historyczny Ben Akiba owo słynne zdanie wygłosił, nic nam tradycya nie mówi; — są one inwencyą Gutzkowa, cytowanie ich zatem w niemieckim języku nie jest bynajmniej herezyą.

Z estrady i sceny.

WANDA.

Tragedya w 5 aktach p. Fr. Wężyka.

Z pyłu i pleśni otrzepano „Wandę" Wężyka, przybrano ją w kostyumy szwedzkie, niemieckie, polskie i hebrajskie, ochrzcono na prędce wodą wiślaną i ukazano na scenie poznańskiej. Kto dokonał wyboru sztuki, — nie wiem, wyrażam jednak żal, że na pożegnalny benefis p. Paszkowskiej zagrano jeden z tych utworów, które wprawdzie jako ślad dawnej artystycznej twórczości zapisujemy chętnie w podręcznikach literatury, ale na scenie witamy z niesmakiem. Talent Wężyka był zaledwie słabym płomykiem, który gdzieniegdzie sypał iskrami pięknych wierszy, gdzieniegdzie rozpalał silniejsze ognie w dramatach, lecz w żadnym utworze nie wzniósł się na wyżyny prawdziwego artyzmu. Czy to Barbara Radziwiłłówna, czy Bolesław Śmiały, czy Gliński, czy Wanda, — wszędzie ten i ów szczegół błyśnie przelotnie pięknością formy lub siłą, lecz całość dla braku kompozycyi, psychologii i nerwu dramatycznego nie wytrzymuje najłagodniejszej krytyki. Zresztą Fr. Wężyk, ten pół-klasyk, pół-romantyk literacki, wycisnął na dramatach swoich wybitne piętno chwiejności i stempel różnorodnych wpływów. Żył na przełomie, błąkał się w mrokach przedświtu — do nowego słońca wyciąga ręce i w starych cieniach się chował. Czasem zadzwoni tam legendowa nuta jakiej baśni starej lub śpiewa posępna zaduma Byronowskiego tragizmu, czasem znów Racine klasyczny pożycza koturnów swoich autorowi Wandy, a niekiedy i Szekspir ślady swoje znaczy. Cała ta mieszanina, nie opromieniona blaskiem wybitniejszego talentu, musi ujemne wywierać wrażenie, i szkoda zaiste pracy podjętej około galwanizowania starego utworu, — szkoda talentu beneficyantki dla roli mglistej i z najsprzeczniejszych złożonej kolorów. W sferach teatralnych utrzymywała się pogłoska, że p. *Paszkowska* marzy o stworzeniu „Dziewicy Orleańskiej" w dzień benefisu swojego, i lubo ogrom tego zadania budził wątpliwości pewne wobec artystki niewątpliwie zdolnej, lecz jeszcze surowej, to przecież z drugiej strony rola Joanny d'Arc odpowiada znakomicie artystycznej indywidualności p. *Paszkowskiej*, a dawniejsza kreacya Balladyny przekonała sceptyków, że młoda bohaterka sceny naszej już przezwycięża szczęśliwie poważne trudności, — jeżeli w roli się zakochą i znajdzie dość czasu na staranne studya. Żal mi „Dziewicy orleańskiej", bo zapewne nieprędko znajdzie się na scenie poznańskiej artystka, któraby z pewnemi widokami powodzenia podjąć się mogła tej roli. Tłomaczono się brakiem kostyumów, lecz argument ten nie wytrzymuje krytyki z tej prostej przyczyny, że i Wandę wystawiono przy obfitej pomocy niemieckiego teatru, a ewentualna pstrokacizna strojów nie byłaby zaiste więcej raziła w Schillerowskim dramacie niż krzyżackie tarcze i hełmy, przydrożne krzyże, szwedzkie płaszcze i starożydowskie koszule w mitycznych dziejach „Wandy" słowiańskiej. Lękano się poprostu mozołów wystawy i wybrano — bezwartościową ale wygodniejszą sztukę.

Gra p. *Paszkowskiej* w roli tytułowej Wężykowskiego dramatu wykazywała wszystkie te przymioty i wady, które niejednokrotnie już podnosiłem w krytykach moich. Nierówna i chwiejna w pierwszych aktach, wyrastała w ostatnich do wyżyn prawdziwego artyzmu. Na wstępie trema plątała beneficyantce język i krępowała swobodę ruchów, lecz zwolna strach ustępował za kulisy a na scenie pozostawała artystka panująca nad rolą swoją i olśniewająca chwilami niepospolitą siłą dramatyczną. Deklamacya p. *Paszkowskiej* przygniata nieraz swą grozą tragiczną, porywa i zapala najobojętniejsze tłumy, a czar jej bywa tak wielki, że widz zelektryzowany wybacza chętnie brak wyrazistości w mimice twarzy i opiłowania w ruchach rąk i figury. Tylko w lirycznych momentach dźwięk pozostaje twardym, — kruszy się, nie roztapia. Lecz i tu znać studya staranne nad gimnastyką głosu, a w wielkiej scenie z Rydygierem brzmiał chwilami śpiew rzewny i miękki. Żegnając ten talent niepospolity, który przez cztery miesiące zdobił teatr poznański a za dni kilka powraca na krakowską scenę, dorzucam jeszcze jedną wskazówkę, na którą p. *Paszkowska* szczególną uwagę zwrócić powinna. Nie wiem, czy beneficyantka czwartkowa zastanawiała się przy pracy nad odtwarzaniem charakterów dramatycznych, w jak ścisłym stosunku do psychologii ludzkiej pozostaje sposób chodzenia. Chód tłomaczy poniekąd temperamenta, chód zdradza chwilowe usposobienie człowieka i kto wie, czy kiedyś nie zjawi się człowiek, który, podobnie jak fizyonomistykę i grafologię, stworzy *podologię*. Było niegdyś modą na scenie przyprawiania sobie różnorodnych nosów dla charakterystyki typów i wierzono długo z fanatyzmem pewnym w uniwersalność tego środka przy odtwarzaniu indywidualności ludzkich. Minęła moda, zarzucono maski i główny nacisk położono na mimikę ócz i modulacyę głosu. Czy nie byłoby dobrem pomyśleć o ...nogach?! Jak powinna chodzić Balladyna, jak Joanna d'Arc? Niech p. *Paszkowska* raczy nad tem pomyśleć a znajdzie niewątpliwie znakomity środek pomocniczy dla plastyki kreacyi swoich, które — wierzę w to silnie — przy pracy i zamiłowaniu do sztuki zgotują jej na krakowskiej scenie równe wawrzyny jak u nas. Wiem dobrze, że gra żegnającej nas bohaterki jest jeszcze surową i chwiejną, wiem, że potrzebuje ona bezustannie kierującej ręki, ale bądź co bądź jest to talent pierwszorzędny, który, mimo nieokrzesania, cenię więcej od zimnej rutyny, wysuwanej przez niejednego z kolegów i koleżanek artystki jako rzekomy dowód wyższości swojej. Rutyną? ależ to marny surogat talentu!

Z innych artystów, biorących udział w przedstawieniu Wandy, jeden tylko p. *Wostrowski* stał na wysokości zadania. W bólu swoim i miłości był zawsze szczerym, a z każdego ruchu biła rycerskość, energia i odwaga. Szczęśliwe chwile miał również pan *Skirmunt* oraz panie *Królikowska* i *Jakubowska*, reszta artystów natomiast wykrzywiła zupełnie charakter roli lub raziła mdłą bezbarwnością, a sceny zbiorowe mieszaniną swoją i chwiejnością budziły w najpoważniejszych scenach wybuchy wesołości.

W. R.

Na Wyłomie.

(Sprawa Bojki.)

Stało się coś niezwykłego. W śpiącym sejmie galicyjskim zawrzało, zakotłowało i taka zerwała się burza, że wichry jej i grzmoty zbudziły prasę wszystkich obozów, drzemiącą również snem błogosławionych. Czy tam ktoś wstrząsnął podstawami autonomii? Czy jakieś prawo niezwykłej doniosłości wytoczono przed forum sejmowe? Nic z tego! A mimo to burza huczy i strzela jeszcze bezustannie, a mimo to jaskrawe błyskawice pole-

rozświetlają szarzyznę dzienników? Więc może to alarm fałszywy!.... Przystąpmy do analizy.

Chodziło o unieważnienie wyborów z powiatu gorlickiego, — chodziło zatem o sprawę, która przed kilku miesiącami skompromitowała znowu stosuuki galicyjskie w oczach Europy i rozgoryczyła do głębi szerokie masy ludu tą bezprzykładną presyą rządową, wywieraną stale w kampaniach wyborczych. W jednym z dawniejszych feljetonów poświęciłem obszerne uwagi nadużyciom władz galicyjskich, — nie przypuszczałem jednak, aby sejm mógł *placet* swoje położyć na wybrykach tej miary, co gorlickie łapanie głosów i pałka policyjna, krępująca wolność wyborców. A przecież rzecz nieprawdopodobna stała się faktem dokonanym. Na wniosek weryfikacyjny posłów włościańskich odpowiedziano stemplem legalności, wyciśniętym na krzyczącym gwałcie. Wtedy to rozgoryczony do głębi poseł chłopski Bojko wstąpił na trybunę i rzucił słowa podyktowane bólem gryzącym: „Jeźliby klub ludowy postawił nawet wniosek o odbudowanie Polski, to większość sejmowa odrzuciłaby go dla tego tylko, że my go stawiamy.“

Tak mówił Bojko! I w mig ozwały się trąby na alarm. Jeden poseł po drugim rzucał głośny protest i potępienie, a krakowski deputowany Jordan okrzykiem: „Bydlę“ ulżył wezbranemu sercu. Przeprosił Bojko za swój „*lapsus linguae*“, — cofnął i Jordan obelgę, godną przekupki, — zdawało się zatem chwilowo, że sprawa ubita. Ale gdy sejm umilknął, rzuciła się prasa chciwie na sensacyjną awanturkę i zagrała na trąbach, pistonach, basach i bębnach takie larum straszne, jakoby Polska cała stała na wulkanie. Dwa tygodnie mija a hałas nie ustaje. Wciąż słychać jeszcze ballady o Bojce, a czegóż na ten temat nie wyśpiewały pióra dziennikarskie! Podnoszono zbiorowy protest sejmu jako elementarny wybuch patryotyzmu, podsuwano włościańskim posłom krwawe wspomnienia z 1846 roku, zachwycano się po tysiąc razy, że „nikt nie milczał, wszyscy potępili“, pieszczono się każdem słowem mierzącem w serce zuchwałego mówcy, rozdymano małą kropelkę w jakiś bombel potężny i rozkrzykiwano na wszystkie strony świata „bezczelność“ chłopa i chłostę, którą odebrał.

Miałażby istotnie prasa galicyjska nie odróżniać żaby od nosorożca? Czy to przekonanie mówi przez usta alarmistów dziennikarskich, czy też cały ten hałas jest tylko sztuczką dyplomatyczną, aby zdyskretytować posłów włościańskich i raz na zawsze wyleczyć „ludomanów“ z chorobliwej maroty, że lud w ludzie szukać powinien przedstawicieli swoich.

Nie ma zapewne w całem społeczeństwie nikogo, ktoby okrzykowi Bojki przyznawał prawo obywatelstwa na trybunie sejmowej, ale ostatecznie winę stanowi tu jedynie nieszczęśliwa forma, nieszczęśliwa hyperbola, użyta nie przez rutynistę parlamentarnego, lecz przez rozgoryczonego włościanina, który po raz pierwszy wstępuje w szranki parlamentarne. W duszy jego wzbierał żal wielki, że większość sejmowa depce sprawiedliwość nogami, w myślach jego ustaliło się przekonanie, któremu słuszności odmówić nie można, że w sejmie króluje uprzedzenie do ludowych wnioskodawców, że sejm nie rozstrzyga sprawy na mocy faktów, lecz rzuca na szale nienawiść swoją do klubu ludowego. Tak czuł, tak myślał Bojko, i nic innego nie chciał zarzucić opozycyi. A że w chwili najwyższego rozdrażnienia przesadził w słowach, że użył drastycznego zwrotu, to w dziejach parlamentów europejskich unikatem nie jest i zdarza się w tej lub owej formie, w tym lub owym kraju, nieomal codziennie. Dzwonek marszałka, karcące słowa posłów najróżniejszych odcieni i własna ekskuza nieostrożnego mówcy — to chyba satysfakcya wspaniała za słowo podyktowane brakiem rutyny parlamentarnej i usprawiedliwioną goryczą, lecz nie zawierające istotnej intencyi, by większości sejmowej odmówić patryotyzmu.

Ileż to razy każdy z śmiertelników przesadził w stylowych obrazach i analogiach, ileż to zwrotów hyperbolicznych nabrało u nas przysłowiowej cechy, ileż to razy w gniewie lub uniesieniu mówimy: „tygrys“, choć na kliszach mózgowych rysuje się tylko „kot pospolity“, — lub „Chimborasso“, choć oko spogląda na zwykły pagórek?! Zkąd więc ta wrzawa w sejmie, zkąd te strzały armatnie w prasie galicyjskiej? Czyżby istotnie jądra sprawy nie zrozumiano, — czyżby istotnie wierzono, że Bojko nie *omyłkę* lecz *zbrodnię* popełnił? O! nie, panowie! Z waszych politycznych deklamacyi wygląda w całej okazałości polityczna obłuda.

W dźwięku waszych lamentów nie brzmi nuta serdecznego bólu, melodya krzywdy odczutej głęboko, lecz syczy tylko podstępna dyplomacya. W sejmie i prasie konserwatywnej zrozumiano natychmiast, że weryfikacya gorlickich wyborów może w szerokich kołach społeczeństwa skompromitować opinię posłów, bo sprawa ta nadto była głośną i powszechnie innego oczekiwano wyroku; więc pochwycono zwykłą awanturkę sejmową i rozdęto ją do rozmiarów „kwestyi europejskiej“, aby odwrócić uwagę publiczności i z „*oskarżonych*“ stać się „*oskarżycielami*“. Taka zamiana ról należy do znanych sztuczek adwokackich i cała sprawa Bojki jest niczem więcej jak fałszywym alarmem dla zniesławienia znienawidzonych posłów włościańskich, niczem więcej jak maską dla pokrycia niemiłej sprawy gorlickiej.

Ze wszystkich moździerzy ogień się posypał, gdy poseł-chłop rzucił słowo nieparlamentarne, a gdzież się podziały strzały moździerzowe, gdy profesor uniwersytetu *dr. med. Jordan* na cały głos wołał: „Bydlę Bojko!“ Jeżeli się potępia za „*lapsus linguae*“ człowieka, który poraz pierwszy zasiada na poselskich ławach, któremu obcym jest salon, obcą gimnastyka stylowa, obcą wyższa nauka i wychowanie, to sprawiedliwość nakazywała tysiąc razy energiczniej potępić człowieka, obytego z prawidłami parlamentaryzmu i mieszczącego w swym mózgu obfite zasoby inteligencyi. Lecz o Jordanie milczy prasa konserwatywna lub z dramatycznem tremolando deklamuje, że ciężką musiała być obelga Bojki i wielkim patryotyzm Jordana, kiedy z ust tak spokojnego człowieka padło słowo: Bydlę!

Dziś już akt pierwszy tej tragikomedyi galicyjskiej zbliża się ku końcowi, przewiduję jednak, że w dalszych piętrzyć się będą kolizye. A jeżeli nie zmieni się postępowanie konserwatywnej większości z posłami ludowemi, jeżeli nadal sejm drwinami, widoczną pogardą lub jaskrawą nienawiścią witać będzie każdy wniosek chłopskich deputowanych, jeżeli poseł Abrahamowicz i klika jego drażnić będzie bezustannie chłopskich kolegów insynuacyami o zakulisowych suflerach, choć niejeden z posłów konserwatywnych błyszczy również pożyczaną mądrością i „wysoką inspiracyą“, — to możemy łatwo doczekać się chwili, w której rozgoryczenie i boleść klubu ludowego w drastyczniejszych jeszcze objawi się formach. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA.

* **Na ostatniem posiedzeniu** wydziału historyczno-literackiego w poznańskiem Tow. Przyjaciół Nauk przedstawił p. dr. M. Kantecki starannie opracowany referat o rękopiśmiennej pracy ks. Wdowickiego, p. t. „Polityka Jana III. od r. 1671—1678“. Referent, któremu polecono rozstrzygnąć, czy rozprawa powyższa kwalifikuje się do zamieszczenia w rocznikach Towarzystwa, wydał trafnie uzasadnioną opinję, że praca Ks. Wdowickiego jest bardzo słabą komplacyą i w rocznikach miejsca znaleść nie powinna. Sprawozdanie dra Kanteckiego zajęło całe posiedzenie i wydział czuł się zniewolonym odroczyć zapowiedziany odczyt Ks. St. Adamczewskiego: „O istocie piękna“.

Kronika powszechna.

Wiadomości polityczne i społeczne. Sułtan turecki zdecydował się uznać ks. Ferdynanda samodzielnym księciem bułgarskim. Stało się to pod wpływem Rosyi. — W Darmsztadzie uchwaliła izba deputowanych zniesienie podatku od wina. — W Berlinie i Wrocławiu rozpoczęło się wielkie bezrobocie krawców i krawczek. Cała prasa niemiecka poświęca strejkowi temu obszerne artykuły i w znacznej części staje po stronie wyzyskiwanych robotników krawieckich. „Orędownik“ wypowiada zdanie, że i w Poznaniu praca krawców i krawczek powinna być lepiej opłacaną. — Barona Hammersteina odstawiono już do Berlina i osadzono w Moabicie. Przesłuchy prowadzi radzca sądu ziemiańskiego Brandt.

Teatr i muzyka, Na czwartek najbliższy (20 lutego) zapowiada teatr poznański interesującą premierę. Wystawioną zostanie głośna komedya Paillerona p t. „Komedyanci“, grana dopiero we Lwowie i Łodzi, a świeżo złożona dyrekcyi teatrów rządowych w Warszawie. Będzie to jedna z najwybitniejszych nowości obecnego sezonu, a zasługuje tem więcej na uwagę, że wybrał ją na benefis swój reżyser teatru naszego p. Łaski, który w dziedzinie charakterystycznego komizmu wykazał talent niepospolity i zaskarbił sobie uznanie publiczności i krytyki. W „Komedyantach“ biorą udział najlepsze siły sceny poznańskiej. — W repertuarze ubiegłego tygodnia figurował melodramat „Złodziejka“ i „Czarne kruki“ Wiktora Sardou. Pierwszy z wymienionych utworów jest tak okropnym dramatem, bez odrobiny logiki, sensu i artyzmu, że nie rozumiemy, jak dyrekcya tego rodzaju sztuki odważa się wprowadzać na scenę. Melodramat w naszych warunkach z repertuaru schodzić nie może, ale „Złodziejka“ należy do najgorszego gatunku tego rodzaju twórczości. Zresztą artyści drwili sobie formalnie z publiczności a niektóre osoby, że tylko wymienimy p. Grabowieckiego, zamieniły dyalog w jakieś studenckie jąkanie i bełkotanie. Dramatowi „Czarne kruki“, poświęcimy w przyszłym numerze obszerniejszą recenzyę. Tu tylko nadmieniamy, że grą poprawną wyróżniły się panie „Vernon i Jakubowska, oraz panowie Królikowski, Wostrowski, Knapczyński, Jakubowski i Skoraczewski. — W prześlicznej bluetce francuzkiej „Pocałunek“ debiutowała poraz trzeci na scenie poznańskiej p. Barska; po dwóch pierwszych nieudanych występach młodej debiutantki, nie zdradzającej ani krty talentu, przewidywaliśmy fiasko zupełne. Przeczucia nasze się spełniły, bo p. Barska niemiłosiernie zabiła całą poezyę i finezyę utworu. W jej interpretacyi zamieniła się wróżka Urgela w papugę, paplającą słowa niezrozumiane i nieodczuwane. Ani odrobiny inteligencyi, ani odrobiny uczucia, — nic, zgoła nic, prócz pięknej figury i przepysznych włosów. Natomiast partner debiutantki p. Nowacki, pomijając usterki pamięciowej natury, zrozumiał charakter swej roli i grą lekką a nie pozbawioną poezyi zasłużył sobie na uznanie. —

Konkurs. Pierwszą nagrodę na konkursie budowy nowego teatru we Lwowie otrzymał Wielkopolanin. pan dyrektor Zygmunt Gorgolewski. Komisya sędziów przyznała mu jednomyślnie premię w wysokości 6000 koron. Druga nagroda w wysokości 4000 przyznaną została znanemu architektowi Zawiejskiemu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

— **Kr. w Gnieźnie.** Niemiecki wyraz „Auflassung“ tłomaczyć należy słowem: „przewłaszczenie“ lub „przelanie własności“. Niektóre dzienniki używają wyrazu „wzdanie“.

— **Wa. w Poznaniu.** Dziękujemy za pochlebną opinję — nie podzielamy jednak pesymizmu Pańskiego co do przyszłości Księstwa. Protestujemy też stanowczo przeciw przypuszczeniu, jakoby „Przegląd“ zamieszczając nowellę Tetmajera „Ksiądz Piotr“, zamierzał kokietować z stronnictwem klerykalnem. Jest to prześliczna perełka artystyczna, której piękności Szanowny Pan nie odczuwa, mówiąc o „komendzie proboszcza“ i „miałkich myślach gospodyni“. Gdzie w tej nowelli tkwi tendencya klerykalna, tego my pojąć nie możemy, a Szanowny Pan niezawodnie również wytłomaczyć nie umie.

Za redakcyą odpowiedzialny Józef Winiewicz w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.